# BIESIADA LITERACKA

LITERATURA, SZTUKA, KRYTYKA, WYCHOWANIE, GOSPODARSTWO, PRZEMYSŁ, SPRAWY BIEŻĄCE, POLITYKA.

**Nr 25—599.** Redakcya: Chmielna, № 26. **Warszawa, 24 czerwca 1887 r.** 12 czerwca 1887 r. **Tom XXIII.**

W WIECZÓR LETNI.

Obraz E. Gestena.

rodów, ludzie uczeni, literaci i artyści. Dla Boga i Kościoła równie jest miłym prostaczek jak uczony, bogaty jak ubogi, ale nam powinno chodzić o to, aby w święcie nadającém naszemu grodowi cechę wyjątkowo uroczystą przyjmowali udział i ci, co przodują intelligencyi.

**Statua bronzowa króla Zygmunta III,** zdjęta z kolumny i spuszczona na ziemię, ulega teraz starannemu oczyszczeniu. Statua pokryta była kilkocalową warstwą kurzu, pod którą przy oczyszczaniu pokazuje się grube, pełne świeżości złocenie. Płaszcz królewski jest cyzelowany w desenie, które dopiero po zupełném odnowieniu staną się wyraźnemi. Wewnątrz statua wypełniona była gliną dla powiększenia wagi, któréj nie miała sama powłoka wydęta, wystawiona na wichry i uragany, jakie na nią ze wszech stron uderzały. Kolumna została opasaną żelaznemi klamrami; idzie o to, aby ją można przenieść całą i zachować jako pamiątkę na dziedzińcu Muzeum przemysłowo-rolniczego. Nowa kolumna, wraz z odnowionym posągiem króla, ma wyjrzeć z poza rusztowań w końcu sierpnia. Roboty prowadzą miejscowi i zagraniczni kamieniarze, z nadzwyczajną starannością.

**Pomiędzy weteranami cywilnego autoramentu,** stał w pierwszym rzędzie ś. p. Tadeusz Borzęcki, który w tych dniach, mając lat przeszło ośmdziesiąt, zasnął na wieki. Stał w pierwszym rzędzie nie tylko z prawa swéj nauki i zdolności, jako wychowaniec uniwersytetu Aleksandryjskiego, jako sądownik i urzędnik na naczelnych stanowiskach, lecz także jako człowiek zacny, charakter niezłomny, obywatel pamiętający zawsze o pomyślności swego kraju, o losie swych młodszych kolegów. Był on cenionym przez zwierzchników, kochanym przez podwładnych, a kto bliżéj poznał szanownego weterana bądź w jego kółku rodzinném, jako najlepszego ojca, bądź w towarzystwie, ten serdecznie westchnął nad mogiłą starca, który był pamiątką przynoszącą zaszczyt naszemu stanowi urzędniczemu.

**Rolnictwo nasze straciło** zdolnego pracownika przez zgon ś. p. Aleksandra Karpińskiego, profesora instytutu agronomicznego w Nowéj Aleksandryi. Zmarły należał do niewielu naszych rolników, którzy o drobne gałęzie gospodarstwa dbają równie jak o większe; jego wykłady o pszczelnictwie, jedwabnictwie i rybołówstwie były ożywione przekonaniem, że i drobny przemysł może się przyczynić do dobrobytu kraju. Młodzież rozumiała dążności nauczyciela i gorliwie korzystała z jego wykładów oraz z dzieł oddzielnie wydanych. Szanując nauczyciela, kochała człowieka; na swoim zagonie przypomni sobie przestrogi rolnika, który najwięcéj lękał się lekceważenia rzeczy małych, od jakich zawisła pomyślność wielkich.

**Łatwo ludzie zapominają** o strasznych naukach, jakie im daje przyroda, kiedy wylew Cisy, która przed kilku laty najżyźniejszą część Węgier spustoszyła, znowu w tym roku powtórzył bez oporu swe najście na wsie i miasta. Wylew przybrał olbrzymie rozmiary, sta tysięcy morgów urodzajnéj ziemi leżą pod wodą, wszystkie tamy źle zbudowane zniesione, miliony wydane na nie przepadły, miasta i wsie w gruzach, nędza przerażająca, ofiary w ludziach bardzo liczne. Wszystko to sprawiły niedbalstwo i ślepa nadzieja, że nieszczęście już się nie powtórzy, a podobno także niesumienność inżynierów i przedsiębierców, którzy budując tamy więcéj myśleli o sobie niż o bezpieczeństwie mieszkańców. Wszędzie są szakale, które tuczą się krwią spółbraci, a w administracyi węgierskiéj, zdemoralizowanéj, szakali tych jest więcéj niż w innych krajach. Dziś opinia wytyka ich palcami, ściga przekleństwami, ale już zapóźno — złorzeczenie rzeki w koryto nie cofnie. Jak w każdéj klęsce tak i w téj znaleźli się bohaterowie; dzienniki donoszą o nadludzkiéj odwadze i poświęceniu młodzieży węgierskiéj i honwedów, którzy szli na pewną śmierć, aby z toni wyratować dziecko i oddać je matce rozpaczającéj. Człowiek jest stworzeniem najdumniejszém nawet wobec niemiéj przyrody: chce się pokazać królem świata; ale są poświęcenia nakazane tylko przez serce—do nich należą poświęcenia tych, którzy do domów zalanych podpływali łodziami w noc ciemną i ratowali ludzi, których nazwisk nie znali; wywozili ich w bezpieczne miejsca i znowu odpływali nie powiedziawszy o sobie ani słowa, aby daléj ratować, na ląd wywozić albo razem z ratowanymi zginąć.

---

**MIECZ i DYPLOMACYA. Królewski jubileusz.** Anglia obchodzi rzadki, jedyny podobno w dziejach monarchizmu, pięćdziesięcioletni jubileusz rządów kobiecych. Sędziwa dziś królowa Wiktorya wstępując na tron miała lat 18. Najgłówniejszy punkt programu jubileuszowego stanowił uroczysty pochód z pałacu Buckingham do opactwa Westminsterskiego, które w murach swoich pomieściło 8,000 zaproszonych gości. Uroczystość kościelna rozpoczęła się odśpiewaniem *Te Deum* kompozycyi nieboszczyka męża królowéj, ks. Alberta. Oprócz właściwych uroczystości, anglicy w najrozmaitszy sposób postanowili pamięć dnia tego przekazać potomności; między innemi każda gmina w całém państwie królowéj zasadziła dąb, który będzie się zwał „Dębem Wiktoryi"; angielki zebrały znaczną sumę pieniędzy, którą ofiarowały królowéj a ta ma przeznaczyć ją na dźwignięcie domu przytułku dla nauczycielek i... artystek. Książę Walii znów, dla upamiętnienia rządów matczynych, w dniu jubileuszowym zamierzył dać inicyatywę wielkiemu dziełu narodowemu: urządzeniu „stałéj wystawy narodowéj". Między pomysłami uświęcenia dnia tego są też i ekscentryczne — zwyczajnie jak w Anglii; ktoś np. zaproponował, żeby w dniu tym punkt z uderzeniem godziny 9 zrana wszystkie orkiestry cywilne i wojskowe, wszyscy anglicy mający jakiekolwiek pojęcie o muzyce, zagrali jednocześnie, choćby na piszczałce lub trąbce dziecinnéj, nb. przy otwartém oknie, hymn „*God save the Keen*"; ktoby na niczém zagrać nie potrafił, winien hymn pomieniony odśpiewać. Gdyby ten projekt przyszedł do skutku, byłaby to tak monstrualna kocia muzyka, jakiéj dotąd świat nie słyszał. Pominąwszy wszystko inne, jubileusz królowéj Wiktoryi wprawił w ruch ogromne kapitały; sama uroczystość kościelna w Westminsterze kosztowała 200,000 funtów szterlingów, to jest mniéj więcéj 2 miliony rubli.

**Przed trybunałem lipskim,** znanym nam aż nadto z wyroku wydanego przed kilkoma laty, który nie wiadomo o ile lat skrócił żywot Atlasa literatury naszéj, toczył się znów obecnie proces ośmiu alzatczyków, obwinionych o zdradę stanu za to, że należeli do francuzkiego stowarzyszenia „Ligi patryotycznéj". Oskarżeni wszyscy prawie mają nazwiska niemieckie, ale w ogóle są francuzami z krwi i kości, a co większa z ducha; oto szereg tych nazwisk: Köchlin, Blech, Schiffmacher, Trapp, Jordan, Steybel, Freund, Humbert. Akt oskarżenia zarzuca im należenie do towarzystwa mającego na celu obalenie traktatu frankfurckiego i oderwanie od Niemiec prowincyj zabranych. Obwinieni twierdzą z przekonaniem, iż są niewinni, lubo przyznają prawie wszyscy, że do „Ligi patryotycznéj" należeli, niektórzy nawet zbierali składki, ale czynili to publicznie, w przekonaniu, że należenie do tego stowarzyszenia nie jest wzbronione. „Prawda—mówił między innemi Schiffermacher—że działanie moje wypływało z moich sympatyj francuzkich, ale ja się urodziłem i wychowałem we Francyi, bo Alzacya była wówczas jéj częścią a uczuć i wspomnień młodości z serca nie wygnać". Wszyscy w ogóle przeczą, jakoby mieli myśleć o oderwaniu Alzacyi i Lotaryngii środkami gwałtownemi; co najwięcéj mają nadzieję, że powrót tych prowincyj do Francyi nastąpi na drodze polubownéj komplanacyi; jeden z obwinionych wyraził przekonanie, że po śmierci cesarza Wilhelma i ks. Bismarka Niemcy znajdą się w tak opłakaném położeniu ekonomiczném i finansowém, że z gustem Alzacyą i Lotaryngią odprzedadzą Francyi.

Niemcy gwałtowny nacisk kładli na polityczne znaczenie procesu, drażniąc nieoględnie, czy też umyślnie uczucie i opinią publiczną we Francyi. Dwóch obwinionych skazano na dwuletnie, jednego na półtoraroczne i jednego na roczne więzienie w twierdzy; czterech uwolniono. Między skazanymi znajdują się bogaci przemysłowcy; jeden z nich dawał zajęcie w swych fabrykach 15,000 robotnikom. Skazani przyjęli wyrok obojętnie, a krewni i znajomi pożegnali ich okrzykiem na cześć Alzacyi i Lotaryngii, czyli na cześć Francyi.

**Do spisku na życie cesarza Wilhelma** należał także student uniwersytetu w Wrocławiu, niemiec; jest on już w rękach policyi. Inni spiskowcy nie pochwyceni, chociaż są dowody, że zamach ułożyli socyaliści. Pałacu w Lignicy, który miał zamieszkać cesarz podczas jubileuszu siódmego pułku grenadyerskiego, strzeże ciągle policya; przepatrzono wszystkie kąty i wydobyto z piwnic pałacowych naboje dynamitowe.

**Dramat rodzinny** zadzierżgnął się od lat kilku w konaku króla serbskiego Milana. Zmiana gabinetowa ma być owocem tych niesnasek rodzinnych. Dzienniki bez ogródki mówią o rozwodzie króla z królową, o dążeniu królowéj do złożenia z tronu niewiernego małżonka. Jaki będzie akt piąty tego dramatu, żaden poeta nie przewidzi, to tylko pewna, że akt pierwszy rozegrał się nie na korzyść króla: lud jest za królową i Risticzem, a zatem za wpływem rossyjskim, niwelującym wpływ austryacki. Manifestacye tym duchem ożywione były tak gwałtowne a ubliżające Austryi, że sam Ristic musiał użyć siły zbrojnéj aby poskromić tumult, bardzo miły dla niego ale bardzo niedyplomatyczny. B. minister, stronnik Austryi, broniąc się strzelał do motłochu, napadającego go na ulicy i w domu.

---

# OSTATNI.

## Epizod z bitwy pod Dogale.

Zawsze ten, który zamyka oczy wszystkim swoim towarzyszom i sam jeden przy życiu pozostaje—zwraca na siebie uwagę szczególną i zbiera spółczucie, jakiém naród otacza pamięć poległych swych synów. Takim „ostatnim", w strasznéj bitwie włochów z abisyńczykami pod Dogale, jest kapitan Michelini, którego opowiadanie poniżéj powtarzamy, podług tekstu w dziennikach włoskich.

Ostatni żołnierz z całéj armii, to tak jak ostatni członek z całego rodu; tylko armia znowu się zbierze a rodzina na ostatnim spadkobiercy na zawsze wygasa. Historya jednak rodów i wojen nie zapomni o tych, którym losy przeznaczyły rachować mogiły, w których wszyscy oprócz jego jednego spoczęli. Kapitan Michelini zawdzięcza swemu bohaterstwu i swojéj legendzie wojennéj owacye, jakiemi go czczą całe Włochy;—nazwisko jego jest natchnieniem dla poetów, portrety jego obwieszają wieńcami, wystawiają w oknach, stroją niemi chaty i pałace. Cześć ta narodowa mówi więcéj o wartości moralnéj włochów niż ich dzieła sztuki.

Ostatni oddaje sprawiedliwość każdemu z poległych towarzyszy, żadnego listka z ich sławy dla siebie nie zatrzymuje, a to co opowiada o prostych żołnierzach, którzy ginęli z okrzykiem na cześć swéj ojczyzny, serce czytelnika podnosi. W téj morderczéj walce są epizody okropne, przerażające, ale są także szczytne, piękne, pomimo odrażających ran i upustów krwi. W téj armii poległéj od dzidy i noża barbarzyńców są bohaterowie, którym każdy człowiek, co kocha kraj rodzinny i dba o jego sławę, wystawi pomnik w swém sercu.

„Ras Alula—pisze kapitan Michelini—nakazał opuszczenie Saati i Ua, grożąc szturmem, jeżeli załoga włoska tego zaraz nie spełni. D. 25 stycznia z częścią sił swych uderzył na Saati, lecz cofnąć się musiał przed działami, które w abisyńczykach budzą trwogę niezmierną. W nocy tego samego dnia wyprawiłem się z Massawy z amunicyą, przybyłem do Moncullo o trzeciéj rano, lecz straciliśmy wiele drogiego czasu wyszukując wielbłądów, na których ruszyliśmy w dalszą drogę.

Na samym przodzie mieliśmy baszybuzuków, za nimi szedł oddział awangardy, daléj dwie kartaczownice, półtory kompanii wojska, wielbłądy, a na samym końcu straż tylna. Siły nasze składały się z 540 żołnierzy i 50 baszybuzuków.

Niewątpliwie padliśmy ofiarą zdrady jednego z licznych szpiegów abisyńskich, kręcących się wszędzie. O ósméj baszybuzuki oznajmili nam nieprzyjaciół. Zajęliśmy zaraz pozycyą na wzgórku z prawéj strony drogi; potem kazałem wysunąć naprzód kartaczownice. Na wzgórzu powierzyłem jedno z dział kapitanowi Tirone, a drugiém sam się zająłem.

Tymczasem nieprzyjaciel wysypując się z ulicy, stanął po prawéj naszéj stronie. Zaczęliśmy ogień na 800 metrów; kartaczownica Tirona, po półgodzinném strzelaniu, zaczęła go zawodzić. Radziłem mu, aby obchodził się z nią jak można najdelikatniéj, lecz po kilku próbach nie można jéj było używać. Strzelałem daléj z mojéj, ale i ta po pewnym czasie stała się niezdatną; kiedy oglądałem ją, starając się zbadać przyczynę, kula abisyńska zadrasnęła mię w rękę.

Widząc, że nieprzyjaciel usiłował nas otoczyć i że niedaleko wznosiło się wzgórze górujące nad naszém, pułkownik kazał ustępować eszelonami i zająć wzgórek dogodniejszy. Zaledwie nową zajęliśmy pozycyą, ujrzeliśmy niezliczoną liczbę dzikich, siedm do ośmiu tysięcy. Otoczeni zewsząd, zrozumieliśmy, że wszystko się dla nas skończyło.

Biedny szeregowiec blizko mnie upadł, ugodzony kulą w głowę; wówczas przyszła mi myśl wziąć jego karabin i mierzyć celnie, by sprzedać życie o ile możności najdrożéj. Celując nadzwyczaj dokładnie, czułem radość wielką za każdym razem, gdym którego wroga ugodził. Miałem szczęście być pierwszym w Afryce z tych, którzy z ognia wysłali „Niech żyje!" Włochom i królowi; a było to gdy pułkownik widząc mię z karabinem, zawołał poraz ostatni: „Dzielny Michelini, nie mogąc palić z działa palisz ze strzelby!" Na co, aby dodać odwagi żołnierzom, odrzekłem: „Tak, panie—zawsze naprzód! Precz z trwogą! Niech żyją Włochy! Niech żyje król!"

Żołnierz nasz był doprawdy podziwienia godzien. Pełen wiary w swoich zwierzchników spokojnie dawał ognia; i takim był aż do chwili rzezi, w któréj wszystko zniknęło w odmęcie. Walczyliśmy z wściekłością, ranni nawet razili wroga kamieniami.

Trzymaliśmy się dopóki sił stało, a gdy większa część naszych zasłała sobą pole lub z powodu ciężkich ran niezdolną była do walki, Ras Alula uderzył w bęben sygnał ataku; zewsząd, krzycząc, rzucono się na nas. Przemożeni liczebnie padliśmy wszyscy: 540 z naszych i kilku baszybuzuków; inni salwowali się ucieczką.

W zgiełku bitwy ujrzałem, w odległości dziesięciu kroków, dwóch jeźdźców abisyńskich i dałem do nich ognia; w tejże chwili jednak otrzymałem z tyłu pchnięcie dzidą. Zwróciłem się natychmiast na lewo a ujrzawszy blizko siebie schylonego negra, gotującego się zadać mi drugie pchnięcie, odwróciłem karabin i kolbą rozpłatałem mu czaszkę. Potem, gdy rzucałem się na drugiego, otrzymałem ranę w lewy bok, po któréj upadłem na ziemię.

Wkrótce, zupełnie już omdlały, uczułem, że ktoś mnie wlecze za ramię, lecz nie byłem zdolny się poruszyć. Czułem jak zdejmowano ze mnie obuwie, odzież, odcinano mi poły... ale daléj już nic nie pamiętam. Zdawało mi się słyszeć tylko jęki rozpaczliwe, jakgdyby okaleczano rannych; niestety, z wieloma tak postąpiono.

Koło pół do trzeciéj przybył oddział piechoty; kapitan zobaczywszy mnie, zawołał po imieniu, lecz ja nic nie słyszałem. Sądził, iż już nie żyję, a że czas naglił, zabrał kilku rannych i powrócił do Monkullo.

Oprzytomniałem zdaje mi się koło czwartéj; mówię, zdaje mi się, bo zegarek mój i wszystko co miałem cenniejszego stało się własnością rabusiów. Wkrótce potem podniosłem się na kolana, następnie na nogi i spojrzałem na pole bitwy: widoku jaki miałem przed oczyma nie zapomnę nigdy—był więcéj niż okropny. Dzicy uprzątnęli swoich poległych i rannych i pozostali tylko nasi. Widziałem pokaleczonych najohydniéj; słyszałem jęki, które wstrząsały do saméj głębi serca. Ci błagali o kropelkę wody, inni by ich dobić z litości. Zebrałem całą moję energią i nie mogąc czém innem, starałem się słowy dodać odwagi mniéj ciężko rannym; wlokłem się z nimi do pozycyi najbliższéj Saati lecz po kilku minutach drogi uciążliwéj, nie mogli iść i padali.

Nie miałem żadnych środków by im pomódz i trzeba było myśleć o sobie. Miałem nadzieję dostać się do Saati i ztamtąd przysłać ratunek; puściłem się samotnie. Prócz innych ran, kamienie i ciernie kaleczyły mi bose nogi. Niezadługo spotkałem biednego żołnierza, nagiego jak ja, który miał tylko jednę ranę w boku; kula przeszła mu między żebrami, nie złamawszy kości. Powiedziałem jednę tylko ranę, bo wszyscy prawie mieli ich po kilka. Okrążaliśmy wzgórki, szukając Saati; błąkałem się do wieczora i na noc ukryłem w krzaku. Śród téj długiéj i okropnéj nocy myślałem o powrocie w kierunku Massawy i nad ranem puściłem się w tę stronę..."

Proste te słowa, pisane nazajutrz po bitwie, malują całego człowieka. Prawdziwy heroizm nie lubi przechwałek.

A teraz wejdźmy do szpitala i przypatrzmy się miłosierdziu włochów, z którymi na tém polu prawie nigdy nie zdarza się nam spotkać.

Jesteśmy w szpitalu Ś-téj Trójcy w Neapolu. Miłosierdzie zrobiło swoje: pogrzebało poległych, pozbierało z pobojowiska rannych i leczy blizny, które nienawiść zadała. Ranni są pomieszczeni w sali obszernéj, dobrze przewietrzonéj, pielęgnowani troskliwie; częste odwiedziny znajomych i osób dostojnych nie dają im czuć samotności, liczne podarki osładzają ich dolę. Na ścianach wiszą wieńce, to dań złożona waleczności przez wdzięczną ojczyznę.

Za krew — kwiaty.

Jedni przykuci do łoża, podzielą może wkrótce los współtowarzyszy, padłych na pobojowisku; pomimo cierpienia, twarze ich jaśnieją blaskiem spełnionego obowiązku. Inni lżéj ranni, chodzić mogą od łoża do łoża i zająć myśl czytaniem lub rozmową, a mają o czém rozmawiać; wszyscy oni byli świadkami bitwy, któréj pamięć nie zatrze się w dziejach cnoty spartańskiéj, czynów godnych stanąć obok czynów bohaterów Plutarcha. Wszyscy oni złożyli dowody odwagi bezprzykładnéj, zdumiewającéj samych barbarzyńców; dość powiedzieć: *wszyscy polegli jak stali w szeregu*, a kto nie padł martwy, pomimo ran wlókł się na czworakach do amunicyi i podawał ją towarzyszom. Padając i widząc niemożność toczenia dalszéj walki, wszyscy żołnierze odrywali co mogli od strzelb i czynili je niezdatnemi do użytku. Tyle krwi zimnéj w takiéj chwili!

Polegli leżeli nadzy, pokryci na całém ciele ranami; niektórzy z ciężko rannych ocalili życie udając martwych, pomimo tortur zadawanych im przez wrogów. Barbarzyńcy aby się przekonać—palili im ogniem ręce lub nogi; nieszczęśliwi wytrzymywali mękę, by życie ocalić; ale mało kto je ocalił: z 540 osób, 80 tylko wyszło z ranami, reszta poległa. Z oficerów jeden tylko, kapitan Michelini, ocalał. Kapitan neapolitański de Benedictis, ugodzony kulą w pierś, nie przestał walczyć; nie upadł pomimo otrzymania drugiéj kuli w piersi; po trzeciéj dodawał jeszcze odwagi żołnierzom, wreszcie dwie inne, wypalone jedna po drugiéj, powaliły go na ziemię. Padł chlubnie z pięcioma kulami w piersi.

Jednemu z oficerów dzicy zdjęli tunikę i dla pospiechu pocięli ją na zwłokach, lecz jeden kawałek pozostał: przytrzymała go krew z serca. Kiedy podjęto zwłoki i obmyto ranę, zobaczono, że kula wpadając w serce, wtłoczyła w nie kawałek papieru: był to list od matki! Dobry syn nosił go na sercu.

Pułkownik de Cristoponis do ostatniéj chwili bił się jak prosty żołnierz i padł ostatni; cały był pokłóty dzidami, poznano go tylko po siwych włosach. Kiedy już wszyscy oficerowie padli, jeden de Cristoponis trzymał się jeszcze z dwunastoma żołnierzami; cała wściekłość barbarzyńców zwróciła się na tę garstkę. Pułkownik kazał natychmiast sprezentować broń przed zwłokami poległych i za chwilę wszyscy padli pod ulewą kul i dzirytów...

Takie to czyny poruszyły struny włoskich bardów i prostaczków; mnóstwo wspomnień naiwnie rymowanych i szczytnych hymnów narodziło się pod hasłem: „Poległym braciom!" Jeden z najpopularniejszych przytaczamy w dosłownym przekładzie:

Cześć wam, chwała, nieśmiertelność!
O rycerze cnoty rzadkiéj,
Których bohaterska dzielność
Dumą wznosi serce matki.
Co was rodzi. Nie umniejsza
Klęska ofiary szlachetnéj,
Klęska taka jest chlubniejsza
Niż zwycięztwa tryumf świetny.
Kiedy abisyńczyk w puszczy
Afrykańskiéj was otoczył,
Nikt nie zadrżał wobec tłuszczy,
Choć ze stoma walkę toczył.
Śmiało odkrył pierś na blizny,
Bił się póki ręką władał;
I z westchnieniem do ojczyzny,
Pod bułatem wrogów padał.
Lud, co takich wydał synów,
Nie zatracił cnót Latynów:
Choć niezgoda pierś mu trawi,
Bohaterstwem zło naprawi
I na krwawém polu klęski —
Zatknie sztandar Włoch zwycięzki!

*M. J.*

---

# DZIECKO KUPIONE.

## POWIEŚĆ

PRZEZ AUTORKĘ „LORDA ERLISTOUN"

przekład z angielskiego J. S.

(*Dalszy ciąg.*)

Artur bywał więc z woli pani Trevena w Tawton Abbas, które niebawem zapełniło się gośćmi. Młody student, piękny, wesoły, utalentowany, stał się wkrótce ulubieńcem wszystkich a szczególniéj lady Damerel, która bynajmniéj nie kryła swojéj dla niego sympatyi; on zato wcale jéj nie podzielał i nieraz wobec matki i Nelli żartował z łask, jakie miał u pani domu.

Pan Hardy tymczasem coraz częściéj nawiedzał państwa Trevena i, porozumiawszy się z nimi, formalnie oświadczył się Nelli. Dziewczę jednak stanowczo odrzuciło jego prośbę i na wszelkie namowy i przełożenia odpowiadało, że nie myśli iść zamąż. Pani Trevena nie nalegała dłużéj, choć serdecznie żałowała pana Hardy; Artur nic nie mówił, lecz widocznie był nieswój, pan Trevena zaś nie mógł jeszcze wyjść ze zdumienia, że Nella, którą dotychczas uważał za dziecko, była już dorosłą panną, z którą się żenić chciano.

Wakacye właśnie się kończyły i Artur poszedł się pożegnać z lady Damerel, wrócił jednak tak wzburzony i chmurny, że matce serce zamarło z trwogi.

— Co tobie jest, mój chłopcze najdroższy?—pytała niespokojnie—co się stało, powiedz?

Usiłował z początku zbyć ją żartami, ale ona nie ustąpiła i w końcu dowiedziała się prawdy.

— Jaka dziwaczna myśl przyszła do głowy lady Damerel—rzekł Artur—wyobraź sobie mateczko, czego zażądała odemnie! Oto żebym porzucił wydział matematyczny, przestał dawać lekcye i pojechał zagranicę zwiedzić trochę świata. Ofiaruje mi na to trzysta funtów rocznie.

— Cóżeś odpowiedział?

— Podziękowałem jéj, ale oświadczyłem, że nie chcę od niczyjéj zależeć łaski i mam zamiar własną pracą zarabiać na moje utrzymanie.

— Cóż ona?

— Przyjęła to dość spokojnie, tylko radziła mi, żebym się jeszcze nad tém zastanowił i żądała, żeby nikomu o tém nie mówić. „Wyjąwszy mojéj matce"—odrzekłem. Wtedy roześmiała się głośno; nigdy jeszcze nie słyszałem tak nieprzyjemnego śmiechu. Nie lubię lady Damerel. Czy dobrze postąpiłem, mateczko?

— Bardzo dobrze—rzekła z wysiłkiem.

— Nie rozumiem, dlaczego ona tak się mną zajmuje. Taka propozycya ze strony osoby zupełnie obcéj jest nawet obrażającą dla mnie. Czy lituje się nademną?... Matko—dodał rumieniąc się—czy lady Damerel wie, kto jestem? Czy—ona wie, że nie mam prawa do nazwiska, które noszę.

— Wszyscy to wiedzą, mój drogi—poważnie odrzekła Zuzanna—przez całe życie moje trzymałam się prawdy. Każdy uważa cię za naszego przybranego syna, który postępowaniem swojém przyniesie zaszczyt naszemu nazwisku.

— Będę się starał o to, matko, ale—gdybyś ty wiedziała, jak to ciężko nie mieć...

Głos mu się złamał ze wzruszenia, ale Zuzanna domyśliła się, co chciał powiedzieć: „Jakto ciężko nie mieć własnego nazwiska, nic o własnéj nie wiedzieć rodzinie".

— Gdybym był dziewczyną, lżéj byłoby mi na świecie—mówił smutnie—znalazłby się może królewicz, coby poślubił biednego kopciuszka, nie pytając się o jéj ojca i matkę. Poczciwy Hardy nie pytał się o rodziców Nelli, bo kochał ją szczerze i mógł jéj ofiarować znane i zacne imię. Ale ja, matko, ja gdybym kiedyś pokochał sercem wybraną dziewczynę i pragnął ją pojąć za żonę, co powiem jéj ojcu gdy mię zapyta: „Kto jesteś, mój chłopcze? Gdzie są rodzice twoi"?... Ach! matko, co ja mu powiem wtedy!

Taka boleść brzmiała w jego głosie, że Zuzannie łzy rzuciły się do oczu. Ona wiedziała, że owa chwila nadejdzie i cała jéj miłość nie zdoła odwrócić kielicha goryczy, którą jéj ukochany chłopiec spełnić musi. Bo i cóż mogła uczynić? Powiedzieć mu prawdę byłoby może okrutniejszą rzeczą niż zostawić go w nieświadomości. Zresztą prawdę ona zgadywała jedynie, nie miała na to dowodów. Gdyby wiedziała, że tym sposobem zdoła Arturowi zapewnić nazwisko i majątek, Zuzanna przed żadną nie cofnęłaby się ofiarą.

Stał teraz przed nią blady ze wzruszenia, z posępnym blaskiem w oczach i zmarszczką przecinającą mu czoło, a jednak kiedy patrzyła się na niego, otucha wstąpiła w jéj serce; był taki piękny, dzielny i śmiały, tak bogato od natury obdarzony; czyż przed takimi ludźmi świat nie stoi otworem?

— Synu mój, nie lękaj ty się przyszłości—rzekła z mocą—człowiek jest panem i twórcą swego losu. Pamiętaj o tém, pracuj i wytrwaj, miéj serce czyste i dumne czoło, a zdobędziesz wszystko czego zapragniesz. I ja niegdyś czułam się bardzo nieszczęśliwą lecz mężnie przezwyciężyłam boleść i Bóg mię pocieszył dając mi ciebie. Czyż i ty nie powinieneś Mu dziękować za to, że ci dał matkę?

Otworzyła mu ramiona, ale on nie padł w jéj objęcia, tylko rzucił się do kolan i ukrywszy twarz na jéj łonie, płakał jak dziecko, płakał długo i rzewnie, aż wreszcie z temi łzami wszystek ból i gorycz spłynęły mu z serca.

Zuzanna przez całą noc nie zmrużyła oka i wśród tych godzin bezsennych ostateczne powzięła postanowienie, że za jakąbądź cenę musi dowiedzieć się prawdy; wtedy niech Artur wybiera między nią a lady Damerel, między cichém, uczciwém życiem poświęconém pracy a próżniaczym żywotem panicza.

Nazajutrz skorzystała z nieobecności Nelli, wiernéj przyjętym obowiązkom, i Artura, który błąkał się gdzieś samotnie, żeby się udać do Tawton Abbas. Dawniéj łatwo jéj było przebyć tę niedaleką przestrzeń, teraz, z ubytkiem sił i zdrowia czuła, że nogi się pod nią uginają; co chwila musiała odpoczywać.

Był to cudowny letni poranek, pełen światła, woni i blasku. Zuzanna nigdy nie była obojętną na piękności natury i teraz choć znękana i chora, z zachwytem spoglądała na wspaniałe drzewa parku, których splecione konary rozkoszny cień rzucały na miękką jak aksamit murawę.

Ostatni z pod Dogale.

Nagle na zakręcie alei ujrzała sir Karola Damerel, którego wieziono na krześle. Zatrzymała się, żeby go przywitać, ale biedny starzec na pół już sparaliżowany, niewyraźném odpowiedział jéj bełkotaniem; a jednak niegdyś musiał to być piękny i silny mężczyzna, oczy miał błękitne, takie jak Artur i rysy też same, wybitne i regularne. Nigdy jeszcze podobieństwo sir Karola do Artura nie uderzyło tak silnie Zuzanny jak w téj chwili; ktokolwiek widziałby ich razem, poznałby odrazu, że to ojciec i syn.

Był to jeden dowód więcéj przeciw lady Damerel, gdyby chciała wyprzeć się jeszcze raz swego dziecka.

Pani Trevena zastała ją siedzącą w różowym budoarze, z wielkim wachlarzem w ręku, otoczoną mnóstwem kosztownych cacek i drobnostek, ubraną w wykwitny strój ranny, który miał podnosić zwiędłą jéj urodę. Łaskawym uśmiechem powitała Zuzannę, wyrażając swoję radość z tego, że zdrowie pani Trevena pozwala jéj tak dalekie odbywać wycieczki.

— Nie jestem zupełnie zdrową, ale mimo tego przyszłam, gdyż potrzebowałam widzieć się z panią—odrzekła Zuzanna, która już zdołała zapanować nad wzruszeniem.

Lady Damerel drgnęła, ale uśmiech nie opuścił jéj ust uróżowanych.

— Gdybym mogła być państwu użyteczną—rzekła.

— Dziękuję, ale ani ja, ani mój mąż niczego nie potrzebujemy. Chciałaś pani przyjść z pomocą memu synowi, on jednak przyjąć tego nie może, a i ja nie życzę sobie tego.

— Dlaczego?

— Dlatego, że jest niestosownem, a nawet upakarzającém dla młodzieńca w tym wieku dostawać zapomogę pieniężną od osoby—zupełnie mu obcéj.

Lady Damerel rozwinęła wachlarz, co nie dozwoliło pani Trevena dojrzeć jéj twarzy.

— Mam nadzieję, że Artur—przepraszam, pan Artur—dodała widząc zmarszczoną brew Zuzanny—nie uważa mię za osobę zupełnie obcą. Lubię go bardzo i pragnęłabym być mu użyteczną; nie widzę więc powodu, dlaczego państwo mielibyście wahać się z przyjęciem tych pieniędzy.

— Ja też wcale się nie waham, lecz stanowczo odmawiam. Dopóki żyć będę, mój syn nikomu grosza nie będzie zawdzięczał, tylko swojéj matce.

— Zdawało mi się, że pani nie jesteś jego matką?

— Tak, nie jestem jego matką, gdyż pani nią jesteś!

Grom spadający u stóp lady Damerel nie sprawiłby na niéj większego wrażenia; zerwała się z krzesła i popatrzyła na Zuzannę przerażonym wzrokiem, jak gdyby ujrzała przed sobą głowę Meduzy.

— Jakie prawo masz pani to mówić?—wyjąkała drżącym głosem—jakie masz na to dowody?... Jak pani śmiesz?

— Mam prawo to mówić, ja, która wzięłam z litości obce dziecię, ogrzałam je na mojém sercu i wychowałam na człowieka!—z uniesieniem zawołała Zuzanna. Ale jak pani śmiesz spojrzeć mu w oczy, ty coś porzuciła własnego syna, jak gdyby to było szczenię i sprzedała go za dwadzieścia funtów? Jak śmiesz stawać teraz między nim a mną, odrywać go od téj, co była mu prawdziwą matką?

Lady Damerel padła na fotel, drżąca jak liść i trupio blada mimo blanszu i różu.

— Zabawna bajeczka — rzekła zmuszając się do uśmiechu—gdyby to nawet było prawdą...

— Pani wiesz dobrze, że to jest prawdą. Doktor Franklin poznał cię odrazu; zresztą mamy dowody w ręku i skorzystamy z nich z pewnością.

— Byłoby to bardzo nieroztropnie z pani strony—rzekła lady Damerel, konwulsyjnie zaciskając ręce—nicbyście na tém nie zyskali... Ale jedno jeszcze pytanie... czy on wie?...

— Nie, gdyby wiedział, jakżeby panią pogardzał!

Błyskawica gniewu mignęła w czarnych oczach lady Damerel i skrzyżowała się z pogardliwém spojrzeniem Zuzanny. Obie kobiety mierzyły się nienawistnym wzrokiem, jak dwaj wrogowie gotowi do nieubłaganéj walki. Nie wiadomo, jaki byłby dalszy przebieg rozmowy, gdyby szczególnym trafem na progu w téj chwili nie stanął Artur.

— Kazałaś mi pani przyjść o dwunastéj, jestem więc... Ach! mateczko — zawołał, spostrzegając panią Trevena — jak mogłaś przyjść tu sama! Zmęczyłaś się i pewno to odchorujesz.

Pochylił się nad nią z niespokojną czułością, zapomniawszy zupełnie o lady Damerel. Zmiana w twarzy matki, silne jéj wzruszenie i wzrok błyszczący gniewem nie uszły jego uwagi.

— Już pani wiesz zapewne to, co przyszedłem ci powiedzieć—rzekł z godnością, zwracając się do lady Damerel—dzię-

kuję pani za jéj dobroć, ale przyjąć jéj nie mogę. Chcę sam pracować na siebie, zawdzięczając wszystko—mojéj matce jedynie.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

---

Jubileusz królowéj Wiktoryi. —Stan zdrowia cesarza Wilhelma i następcy tronu niemieckiego.—Sprawozdanie Virchowa. — Dwustronne poglądy na rządy Risticza w Serbii.— Gruicz ministrem wojny.— Poselstwa serbskie.—Rozdrażnienie nerwowe króla Milana.— Sprawa bulgarska.— Konwencya angielsko-turecka i zmiana wpływów w Stambule.—Zbliżenie rossyjsko-francuzkie. — Jenerał Boulanger i prezydent Grevy.

Pięćdziesięcioletni jubileusz rządów królowéj Wiktoryi, słabość cesarza Wilhelma i choroba następcy tronu niemieckiego, zmiana rządu w Serbii, poruszająca się na nowo po długim letargu kwestya bulgarska, losy konwencyi angielsko-tureckiéj — oto, z pominięciem wielu innych, główniejsze sprawy, na które obecnie uwaga świata politycznego jednocześnie rozstrzelać się musi. Przyznać trzeba, że dosyć tego, zwłaszcza jak na początek pory „martwéj", u nas „ogórkową" zwanéj.

Uroczysty obchód jubileuszowy w Londynie nie ma właściwie charakteru politycznego, nie nadaje mu go rzadki w dziejach monarchizmu europejskiego zjazd członków wszystkich niemal rodzin panujących. Przyzwoitość, solidarność idei monarchicznéj, zresztą osobisty szacunek lub życzliwość dla sędziwéj monarchini ściągnęły tak świetny zastęp do stolicy Wielkiéj Brytanii, ale nigdzie podobno tak jak w polityce nie popłaca zasada: przyjaźń przyjaźnią a interes interesem. Zjazd londyński nie odbywa się pod hasłem zjednoczenia; wymieniwszy wzajemne komplementa przy spotkaniu, reprezentanci rozmaitych polityk, po skończonych uroczystościach, rozjadą się każdy w swoję stronę i wszystko znowu będzie po staremu—pamięć chwilowego zetknięcia się nie pozostawi śladu po sobie.

I Anglia sama, oprócz pewnego zadowolenia miłości własnéj, nic na tém nie zyska: ani podpisu sułtana na konwencyi egipskiéj, ani poprawy położenia swego w Azyi.

Słabość cesarza Wilhelma, mimo urzędowych zapewnień o polepszeniu, przeciąga się, a nawet owe urzędowe źródła, po najpomyślniejszych sprawozdaniach ze stanu zdrowia cesarskiego, dodają: „spoczynek jednak ciągle jest potrzebny". Inaczéj być nie może; sędziwy cesarz podobny jest do lampy dogorywającéj, która, chwilkę wcześniéj, chwilkę późniéj, zgasnąć musi. Gorzéj z tém, że życie następcy tronu mało co podobno jest pewniejsze; Virchow, który rozbierał części wycięte z gardła przez d-ra Mackenziego, napisał dwa sprawozdania: jedno dla chorego, drugie dla lekarzy i rodziny; o ile pierwsze pełne jest otuchy i upewnień, że wszelkie niebezpieczeństwo zażegnane, o tyle drugie stan chorego w czarnych przedstawia kolorach. Przedwczesném więc jest zajmowanie się osobą syna następcy tronu, który z charakteru, a mianowicie z zamiłowania w wojskowości podobny ma być zupełnie do swego dziada, jednak co do przyszłego następstwa jego na tron cesarski można być przygotowanym.

Co się tyczy zmiany rządu w Serbii, prasa austryacka powoli zaczyna sobie wyperswadowywać miłość Risticza dla Austryi. W „Fremdenblacie", organie hr. Kalnoky'ego, pojawił się artykuł, jeśli nie grożący Risticzowi, to ostrzegający go, aby pamiętał, że Austrya nie pozwoli na najmniejszy uszczerbek interesów swoich na półwyspie Bałkańskim. Jak dalece hr. Kalnoky byłby gotów i umiałby spełnić w danym razie tę groźbę pozostaje rzeczą zagadkową, ale dziwna rzecz, że Risticz i z innéj strony nie szczególnego doznaje przyjęcia. „Co jest Risticz?"—zapytuje „Graždanin" i zaraz odpowiada: „Któż nie wie, że Risticz to zręczny awanturnik, jak wszyscy we fraki poprzebierani „bratuszkowie"?... Intryga jest mu tak potrzebna jak powietrze do oddychania. Nic o nim więcéj nie da się powiedzieć. Ująwszy w ręce władzę będzie intrygował, może jeszcze lepiéj niż intrygował w opozycyi; on akurat tyle dba o „drogą" Rossyą, ile dba krawiec o skórę swego sąsiada szewca. Pewien jestem, że będzie się starał o jedno tylko, to jest aby oszukiwać nas gdzie się da; kto zaś sądzi, że Risticz będzie popierał wpływy rossyjskie, ten nie zna ani Risticza, ani serbów."

Tymczasem Risticz, jakby dla odparcia powyższych zarzutów, w miejsce jenerała Bogiecewicza, któremu tymczasowo tylko powierzono tekę ministeryum wojny, zamianował ministrem pułkownika Gruicza, dotychczasowego posła serbskiego przy dworze rossyjskim, jako osobistość najlepiéj obeznaną z życzeniami rządzących sfer petersburskich. Z drugiéj strony zato, zamierzając, w celach oszczędności, uszczuplić ciało dyplomatyczne serbskie, postanowił znieść poselstwo w Petersburgu, a utrzymać nadal posła przy dworze wiedeńskim.

Ostatnie wiadomości z Belgradu donoszą o wielkim rozstroju nerwowym u króla Milana. Wygląda to na przygotowanie opinii publicznéj do zamachu królowéj Natalii, która zamierza ogłosić się rejentką i objąć rządy w imieniu małoletniego syna.

Rejencya bulgarska, mimo odradzań Porty, postanowiła zwołać wielkie zgromadzenie narodowe do Tyrnowy na dzień 2 lipca. Zrazu głoszono, że zgromadzeniu ma być przedstawiony projekt wybrania jednego rejenta w miejsce trzech, kandydatami zaś na tę posadę mieli być Aleko basza i Strecker basza; obecnie jednak donoszą, iż opinia w Bulgaryi domaga się stanowczo uregulowania kwestyi najwyższéj władzy, i że oficerowie bulgarscy podpisują petycyą, żądającą albo zamianowania księcia, albo ogłoszenia rzeczypospolitéj. Jeżeli przedmiot ten wejdzie rzeczywiście na porządek dzienny obrad zgromadzenia, kwestya bulgarska przybierze znów nader drażliwy charakter.

Sułtan turecki odmawia ciągle położenia podpisu swego na konwencyi angielsko-tureckiéj, jeżeli takowa nie zostanie zmienioną w ten sposób, żeby na przyszłość prawo okupacyi Egiptu przysługiwało wyłącznie Turcyi. W Stambule zaczynają znów przeważać wpływy rossyjsko-francuzkie, słychać nawet o blizkiéj zmianie wielkiego wezyra, którym ma zostać Said basza, znany zwolennik Rossyi.

Jenerał Boulanger nie przyjął nominacyi na dowódcę 17-go korpusu armii; chce on pozostać w Paryżu, aby przy pierwszéj lepszéj sposobności pochwycić znowu władzę.

Utrzymująca się przez kilka dni pogłoska o zamiarze zrzeczenia się prezydentury przez p. Grevy'ego okazała się mylną; p. Grevy ani myśli porzucać tak korzystnéj a tak mało sprawiającéj mu kłopotu synekury.

---

622) ODPOWIEDŹ na pytanie: Jak się należy zachować, aby mieć wzrok dobry?

Wzrok jest zmysłem kierowniczym wszelkiéj żywéj istoty; zwierzęta mające słabo rozwinięty wzrok dopomagają sobie innemi zmysłami, jest to prawo równowagi organicznéj. Ciemny kieruje się dotykiem, który skutkiem tego dochodzi u niego do wielkiéj subtelności; macanie ręką daje mu cały szereg wrażeń, które przy pewnéj wprawie pozwalają poznawać dokładnie naturę przedmiotów, z któremi jest w styczności. Wrażenia te jednak nie zastąpią nigdy wrażeń wzrokowych.

Każde indywiduum posiada odmienny rodzaj wzroku. Pomiędzy myopią, widzeniem na krótką odległość, i prestytyą, czyli dalekowidzeniem, ciągnie się cały szereg odstępów wzrokowych pośrednich, zbliżających się mniéj lub więcéj do wzroku normalnego. Ten ostatni jest to widzenie dokładne z odległości koło trzydziestu centymetrów; odległość tę nazwano *dystansem widzenia jasnego*. Nie znaczy to, że nie widzimy przedmiotów dalszych lub bliższych jak tylko z téj odległości, lecz, że odróżniamy bardzo dokładnie szczególy zwykłych przedmiotów, że możemy naprzykład czytać z téj odległości druk zwyczajny.

Otóż zachodzi pytanie, czy mamy możność zmodyfikowania naszego oka i czy zmiany te, powtarzane często, mogą się ustalić?

Pojmujemy, że kości słabe i miękkie mogą się wykrzywić skutkiem pozycyi wadliwéj i po stężeniu zupełném zachować kształt anormalny; nie rozumiemy jednak dlaczegoby wzrok mógł się zepsuć. Aby zrozumieć to, potrzeba poznać budowę oka.

Pod powieką, chroniącą oko od zbyt silnego działania światła, leży błona biaława zwana *sklerotyczną*, mająca w sobie rodzaj okna barwy rozmaitéj, czyli tak zwaną *rogówkę przezroczystą*. Od zabarwienia rogówki zależy kolor samego oka. W środku rogówki znajduje się plama czarna, *źrenica*, która jest otworem zrobionym w tęczówce. W tyle leży *krystalina*, soczewka zbierając, podobna zupełnie do soczewek optycznych, lecz mogąca zmieniać swą wypukłość. W końcu ciągnie się pewnego rodzaju ekran, *siatkówka*, na którym odbijające się obrazy, łącząc się z nerwami optycznemi, doprowadzają do mózgu wrażenie światła.

Obrażenie któregokolwiek z tych zasadniczych organów pociąga za sobą zaburzenia w samym wzroku; to samo stosuje się do muskułów zewnętrznych, porúszających gałkę oczną w jéj jamie.

Jak działają te organa? Otwór źrenicy może zmieniać średnicę, zwiększać lub zmniejszać swą wielkość stosownie do tego, czy przedmiot jest oddalony lub zbliżony, czy światło słabsze lub silniejsze. W ten sam sposób i dla tych samych powodów zmienia się krzywizna krystaliny. Zmiany te źrenicy i krystaliny są konieczne, aby przedmioty widziane utworzyć się mogły na siatkówce.

Teraz zrozumiemy w jaki sposób powstaje i utrwala się myopia. Organa bedące zwykle bardzo plastycznemi na początku życia, mogą przyzwyczaić się do widzenia tylko blizkich przedmiotów; wypukłość jaką przybierze wówczas krystalina, stanie się w końcu niezmienną. Jeżeli naprzykład szkoła będzie niedostatecznie oświetloną, to uczący się zmuszeni są przybliżać zbytecznie oczy do książki i przyzwyczajać je do patrzenia zblizka. Zmodyfikowana skutkiem tego wypukłość krystaliny, staje się w końcu jednostajną. W ogóle zasłabe światło zmusza krystalinę do zwiększania swéj łukowatości, zasilne zaś pali organa wzroku i osłabia go w sposób niemniéj dotkliwy.

Jak dalece niedostateczne oświetlenie wpływa na rozwój myopii, przekonywają spostrzeżenia zrobione w Niemczech: na 10,000 uczących się znaleziono 1,4% krótkowidzów w szkołach wiejskich, 6,7% w szkołach elementarnych miejskich, 7,7 w szkołach elementarnych żeńskich, 10,3 w zakładach średnich, 19,7 w wyższych i realnych, 26, 2% w gimnazyach.

Cyfry te przekonywają, że myopia jest raczéj nawyknieniem nabytém niż chorobą przyrodzoną; liczba bowiem krótkowidzów wzrasta w miarę zwiększania się programu naukowego. Bogacimy umysł kosztem normalnego wzrostu ciała.

Z wiekiem krystalina traci siłę zbierającą, płaszczy się i dlatego starcy oddalają zwykle książkę od oczu lub zakładają okulary, by ułatwić czytanie zblizka. Prestytya nie jest udziałem samych starców, lecz w ogóle ludzi zmuszonych patrzyć daleko, jak żeglarzy, myśliwych i t. p. Jest ona najpowszechniejszym darem ludów dzikich, którym ślęczenie nad książkami nie osłabiło wzroku.

623) PYTANIE: Jaki wpływ wywiera na zdrowie gra w bilard?

---

**Ze skarbca prawd.** Chcąc być szczęśliwym, trzeba być albo zawsze mądrym albo też nigdy nie kosztować owoców mądrości.

REBUS.

*Rebus z N-ru 24.* Lepiéj gonić niżeli uciekać.

---

To sztuka.

Mąż (przypatruje się żonie wystrojonéj na bal). — Jakto, cztery godziny straciłaś na ubieranie się i nic prawie nie masz na sobie!

---

*Podróżny* (wychodząc z wagonu). — Jak długi przystanek?
*Konduktor.* — Jeżeli pan ma spust dobry, to na dwa kufelki wystarczy.

---

Po obejrzeniu gmachu więziennego.
*Dyrektor.* — Jak się panu podobało całe urządzenie?
*Gość.* — Doskonałe, tylko czuć wszędzie zapach... zamknięcia.

---

## JAK SOBIE RADZIĆ.

**Czyścić suknie** jest najlepiéj esencyą terpentynową; dla zniszczenia nieprzyjemnego odoru wystarczy do esencyi wlać kilka kropel cytryny lub jakiego innego kwasu.

---

## Rolnictwo, przemysł, giełda.

Wielki krach spekulantów grających na zwyżkę w Chicago i ztąd zawieszenie wypłat w wielu miejscach, sprawiło znaczną obniżkę cen zboża na rynku nowoyorskim, która przez odbicie wpłynęła niekorzystnie na usposobienie rynków europejskich. W Anglii, mianowicie przy panującéj od kilku dni pięknéj pogodzie, dążność do zniżki zaznaczyła się wyraźnie; Francya, mimo znacznych ciągle zakupów, obniżyła jednak także ceny cokolwiek; w Hollandyi i Belgii usposobienie rynków zbożowych słabe; w Austro-Węgrzech, mimo olbrzymich zalewów, widoki urodzajów tak wielkie, że muszą wpływać na osłabienie cen; w Berlinie, przy dążności ogólnie zniżkowéj, poprawiła się tylko pszenica na szybką dostawę. W Gdańsku ruch mały ale mniejsze jeszcze dowozy, zwłaszcza pszenicy krajowéj; ztąd nabywcy musieli kupować ziarno polskie, i dlatego nietylko pszenica ale żyto, jęczmień i groch polski utrzymały się przy cenach zeszłotygodniowych. Na nasze targi wyjątkowo krach amerykański nie wywarł żadnego wpływu, a ponieważ na prowincyi zakupiono dość znaczne partye ziarna na wywóz do Górnego Szląska, ruch więc na targu warszawskim był stosunkowo ożywiony i w cenach trzymano się mocno.

W sobotę zakończył się tegoroczny jarmark wełniany warszawski, którego przebieg, mianowicie w porównaniu z przeszłorocznym, nazwać można nader pomyślnym. Wprawdzie dostawa, licząc już z remanentem, mniejsza była o 11,904 p. 31 f. niż w roku zeszłym, ale sprzedano w tym roku o 12,000 pudów więcéj, to jest, kiedy w roku zeszłym zbyto zaledwie 56%, w bieżącym sprzedano 90% ogółu dostawionéj wełny. W zeszłym roku, po wykupieniu w pierwszym dniu gatunków wysoko cienkich, następnie gatunki średnie z trudnością utrzymywały się w cenach, a nawet wysoko cienkie drugiéj klasy spadły nieco w ciągu jarmarku; w tym roku wysoko cienkie trzymały się ciągle na jednéj wysokości, a po ich wysprzedaniu średnie a nawet ordynaryjne podniosły się w cenie, zostawiając nawet na czas pojarmarczny usposobienie bardzo mocne. Zwyżka tegoroczna wynosiła 4—19 talarów. Prawda, że ruble w ciągu tegorocznego jarmarku stały mniéj więcéj na 183, podczas gdy w ciągu poprzedniego notowane były 199.

Giełdy, a mianowicie naturalnie berlińska, trzymają zdaje się rękę na pulsie sędziwego cesarza niemieckiego, i w miarę jak ten ożywia się lub słabnie, i one ożywiają się lub omdlewają. Ruble na giełdzie berlińskiéj w ciągu ubiegłego tygodnia trzymały się przeciętnie na wysokości 183, spadłszy najniżéj w d. 17 na 182.80 a najwyżéj podniósłszy się w dniu 20 na 183.30, który to kurs atoli zaraz nazajutrz zszedł znów na 182.80.

*Warszawa, d. 21 czerwca 1887 r.* 5% Listy Zast. (za rs. 100) 101.50.—Listy Zast. ser. II lit. A. 101.40.—Listy Zast. ser. III lit. A. 101.30.—Listy Zast. M. W. I ser. 100.—Listy Zast. M. W. II ser. 99.50.—Listy Zast. M. W. III ser. 98.85.—Listy likwidacyjne Król. Pol. 94.25.—Marka niem. kop. 54 2/3; zł. r. k. 87 1/2; frank k. 45 1/4; półimp. rs. 9 k. 12; wartość rubla w złocie k. 56 66.

**Targ Warszawski.** Za korzec: Pszenica rs. 8 k. 60.—Żyto rs. 4 k. 90.—Jęczmień rs. 4 k. 20.—Owies rs. 2 k. 85.—Groch rs. 6.

— **na stacyi Praga.** Za pud. Pszenica rs. 1 k. 30.—Żyto k. 80.—Jęczmień k. 69.—Owies k. 81.—Groch k. 84.—Gryka k. 80.

---

## OFIARY.

**Na wpisy dla uczniów.** Zebrane w kółku rodzinném, przy ulicy Elektoralnéj, na wpis dla studenta Uniwersytetu rs. 12 k. 15. Kamilla Dzikowska rs. 6. Gruszczyński, notaryusz w Łodzi, rs. 4. Od przyjaciółki Biesiady rs. 4.

**Na pomnik J. I. Kraszewskiego.** A. J. Turżański rs. 4.

**Na kościół na Pradze.** Od służby drogi żelaznéj ze stacyi Baby rs. 1.

**Na przytulisko dla biednych matek.** Od przyjaciółki Biesiady rs. 3.

**Na kolonie wakacyjne.** Od przyjaciółki Biesiady rs. 5.

---

## GAZETKA

**Cyrk Salamonsky'ego.** (P. L. W. w Warszawie.) Uwagi sz. pana zgadzają się zupełnie z opinią, jaką o tym samym przedmiocie wydrukowało „Życie"; nie mogąc pomieścić dwóch artykułów, powtarzamy dosadniejszy z tygodnika: „Warszawę zaszczyca swemi odwiedzinami nie lepszy od innych hecarzy, a stanowczo przechodzący wszystkich bezczelną arogancyą niejaki pan Salamonsky. Jegomość ten wywiózł od nas spore sumy pieniędzy, zamiast wszakże poczuwać się za to do pewnéj wdzięczności, postanowił dowieść nam, że nie jego skoczki i klowny są dla zabawy publiczności, lecz przeciwnie, że przywozi on z sobą orszaki idyotycznych błaznów, jak Tanti *e tutti quanti*, na to tylko, aby się nami pobawić. Nie bez wiedzy i zezwolenia godnego swego dyrektora, błazny owe ośmielają się publicznie rzucać nam w twarz z areny cyrkowéj ohydne obelgi, skierowane przeciw kobietom polskim, i znieważać w ten sposób nasze żony, matki i córki. Publiczność w cyrku zgromadzona nie rozumie po większéj części tych miłych dowcipów, wygłaszanych w niezrozumiałym dla ogółu języku, i... klaszcze policzkującym ją szwabskim skoczkom!! Nie dość tego wszakże: są głosy reklamujące na wszystkie sposoby kuglarską budę bezczelnego niemca i zachęcające do licznego jéj odwiedzania. Wobec tego, uważamy za stosowne zwrócić uwagę każdego szanującego się obywatela na niesłychane zuchwalstwo niemieckiego hecarza i sądzimy, że po tém objaśnieniu nikczemnym każdy nazwie tego, czyja noga choć raz jeszcze postanie w cyrku. Niech arogancki *kultur*(!)-*traeger* z torbami od nas się wyniesie. Tém najlepszą damy mu nauczkę."

---

## Post-scriptum.

**P. H. M. w Łomży.** Aby odpowiedź była ściśle matematyczną, nie możemy się ograniczać na powtórzeniu tego, co gazety ogłosiły; jak wszędzie tak i w dziełach inżynierskich bywają błędy, więc i pierwotne opinie inżynierów angielskich uległy poprawkom i kanał Suezki stał się dogodną komunikacyą między obu morzami. Na nierówność poziomów dziś sztuka inżynierska posiada sposoby, między innemi śluzy olbrzymie, zastosowane i na kanale Suezkim. Wysokość powierzchni mórz jest prawie jednakowa, małe różnice wprowadzają się w obrachowania wysokości lądowych nad poziom morza. Bliższych, matematycznych szczegółów udzieli „Przegląd techniczny" (Krakowskie-Przedmieście 66), które-

go podobne specyalności są monopolem. — **Matce zrozpaczonéj, w Warszawie.** Kazania nasze i cudze nic nie pomogą, szulernia na torze wyścigowym powinna być zakazaną, jak zakazuje się rozpajać lub okradać ludzi. Panowie, którzy protegują totalizatora dlatego, że totalizator istnieje zagranicą, gotowi zgodzić się na szulernią publiczną także dlatego, że taką posiada Monaco. Ale jeśli winni grzechu nasi sportsmani, to winni także rodzice, którzy tak wychowali swe dzieci, że te szulerują. Syn sz. pani, uczeń klasy V-éj, który zgrywa się przy totalizatorze, skończy na oszustwie—trzeba na to być przygotowaną. Matka narzeka, że syn się zgrywa, ale nie na to, że syn grywa—więc jeśli się fortuna odwróci i synek zacznie wygrywać, matka pogodzi się z totalizatorem! To moralność rubla ale nie wychowania.—**Przed poetką podpisaną „Zacofana"** ustępujemy z drogi—niech idzie szerokim gościńcem i niech dobrym ludziom śpiewa. Wiersz ma piętno szlachetnego serca i dzielnego charakteru, a jako utwór literacki zaleca się nawet jędrną formą. Niestety, zaletami temi mogliśmy się nasycić tylko my sami; wiersz ucierpiałby dużo na skróceniu. — **P. S. M. z Długiéj.** Wiersz... nie, na bardzo długo—nie. — **Poetce w Rydze.** Jest w tém nieco humoru ale brak szczerego śmiechu. Nie ufając swéj kompetencyi w sferze humorystyki, wiersze przesłaliśmy „Kuryerowi świątecznemu", który zna się na dowcipie. — **P. T. L. Z.** (w Piotrkowie). W humoresce pańskiéj najzabawniejszym jest dopisek, w którym zapytujesz ile dostaniesz pieniędzy za swoję ramotę. Dobrze żeś pan dodał—*pieniędzy*, moglibyśmy o czém inném pomyśleć.

## Przewodnik.

**Zabytek starożytny do zbycia.** Żelazny postument do zegara, robota z XVIII wieku; na wierzchu orzeł, oprawa z wieńców, chorągwi, strzał, łuków, hełmów — u dołu porzucone rękawice. Adres: p. M. Berezowski, st. Letyczew w Wojtowcach. — **Zabytek starożytny.** (Sz ks. Wysz. w Sz.) Kubek posiada niezawodnie wysoką wartość, lecz na domysł nie podobna dokładnie ceny oznaczyć. Dla znawców i amatorów powtarzamy opis sprzętu: „Kubek srebrny wagi 6 łutów, z czasów Stefana Batorego. Na denku z zewnątrz jest portret głowy króla w koronie, naokoło nadpis: „Stephan. D. G. Rex. Pol. D. Pruss." Wewnątrz zaś kubka na denku: „III gross: ar: Trip: civi: Gedanensis 15.... 72; liczby są oddzielone herbem królewskim." Kubek ten można kupić.— **P. Mich. Komarnicka w K.** P. K. mieszka stale w Warszawie; listy najlepiéj adresować do redakcyi „Bluszczu".—**Go-zelnikowi w Łomżynskiém.** „Warszawskie Towarzystwo oczyszczania i sprzedaży spirytusu" wysłało dotychczas zagranicę 220.000 wiader okowity, przeważnie do Hamburga. Głównym konsumentem polskiéj wódki jest Hiszpania a potrosze i Francya, kraje, które przyzwyczajone do gorących napojów, musiały się wyrzec wina zbyt drogiego z powodu zniszczenia winnic przez filokserę. Nie mamy się czego wstydzić, że wódką częstujemy cudzoziemców, uprzedzili nas niemcy, którzy Francyą zaleli swém piwem. Towarzystwo robi dobre interesa; wszystkie akcye są rozebrane, ale zapewne możnaby część ich nabyć po kursie wyższym od nominalnego.

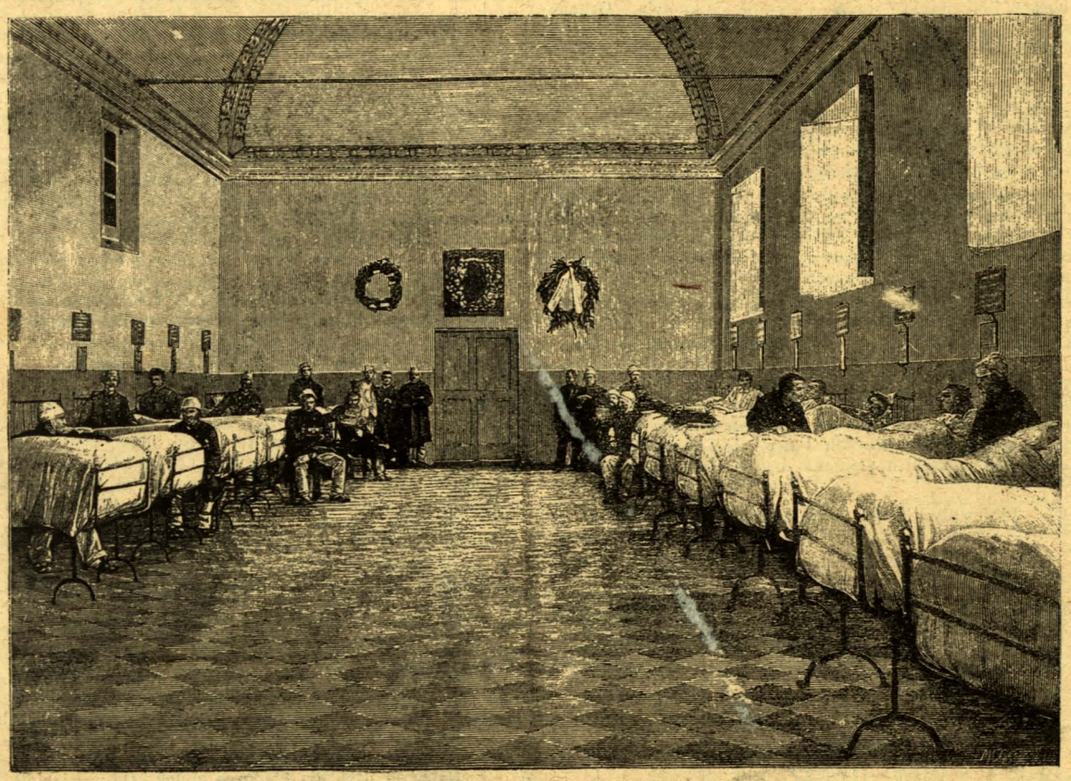

**Waleczni w szpitalu.**

*Treść numeru 599 Biesiady Literackiéj, illustracyi warszawskiéj:* Z Warszawy. — Sobek, obrazek z życia akademickiego przez Michała Bałuckiego. — Z krainy piękna. — Święta opowiadanie dziejowe Arweda Barine'a (d. c.) — Profesor Huxley o tytuniu. — Nic nowego pod słońcem. — Raptularz tygodniowy.— Ostatni, epizod z, bitwy pod Dogale. — Dziecko kupione, powieść przez autorkę „Lorda Erlistoun" (d. c.) — Listy polityczne. — Jak się należy zachować, aby mieć wzrok dobry?—Ze skarbca prawd.— Humorystyka.— Jak sobie radzić.— Rolnictwo, przemysł, giełda.—Ofiary.—Gazetka.—Post-scriptum.—Przewodnik.— *Rysunki:* W wieczór letni. (Obraz E. Gestena). — „Małżeństwo Apfel". (Rysunek Ks. Pillatiego).—Ausrotten! Dawni dziedzice i nowi koloniści. (Rysunek A. Ciemniewskiego).—Ostatni z pod Dogale.—Waleczni w szpitalu.— Rebus. — „Dodatek powieściowy" zawiera: **Serce matki,** powieść Alberta Delpit, arkusz 2.

Przypominamy sz. prenumeratorom, którzy wnoszą prenumeratę kwartalnie, aby z odnowieniem jéj na kwartał III-ci i IV-ty o ile możności pospieszyli. Przesyłka pieniężna *wprost* na nasze ręce jest dla obu stron najdogodniejszą; pomaga ona do dokładnéj i bezwłocznéj ekspedycyi. Premium zeszłoroczne otrzymają prenumeratorowie w kwartale IV razem z premium tegoroczném t. j. z portretem olejnym

**Józefa Ignacego Kraszewskiego,**

wykończonym artystycznie, podług portretu oryginalnego przez hr. Mniszcha, uznanego przez ś. p. Kraszewskiego za najlepszy z dotychczasowych jego portretów i fotografij.

**Adres: Księgarnia i Redakcya Biesiady Literackiéj w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.**

**Cena prenumeracyjna w Warszawie: rocznie rs. 5; półrocznie rs. 2 kop. 50; kwartalnie rs. 1 kop. 25. Na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 6; półrocznie rs. 3; kwartalnie rs. 1 kop. 50. Za dodatek książkowy z powieścią historyczną należy się rocznie rs. 1 kop. 50, z przesyłką rs. 2; lub ratami kwartalnemi po kop. 38, z przesyłką kop. 50. Prenumerata zagranicą jest taka sama; potrzeba tylko ruble i kopiejki zamienić na monetę obcą, przyjmując kop. 50 za markę a kop. 80 za złoty reński. Prenumeratę nadsyłać można wprost do naszéj redakcyi w monecie krajowéj lub obcéj. Sumy drobne przyjmujemy w markach. Cena numeru pojedynczego kop. 15, z Dodatkiem kop. 20. Za zmianę drukowanego adresu kop. 20. Za rękopisma nadsyłane bez zastrzeżenia zwrotu Redakcya nie odpowiada.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Іюня 1887.—Biesiada Literacka wychodzi w każdy piątek.—Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Biuro Redaktora-Wydawcy ***Władysława Maleszewskiego:*** Chmielna Nr 26.

# Z WARSZAWY.

Samobójstwo z miłości.—Nieuwaga panów korespondentów.—Zły przykład i zachęta.—Wychowanie młodzieży i obłęd samobójczy.—Totalizator.—Pocisk prawny.—I dla tych co chodzą boso.—Burza w Towarzystwie Dobroczynności.—Stara gwardya i nowi ochotnicy.—Hr. W. Walewski.—Ci co zamiast godzić jątrzą.—Deszcze.—Wełniarze.—Metoda p. Korzybskiego.—Spółka grójecka.

„Młodzieniec piętnastoletni odebrał sobie życie — powodem była nieszczęśliwa miłość" — w ten sposób korespondenci telegrafują do gazet naszych wiadomości sensacyjne, dodając od siebie nieco ubolewań. Korespondenci moraliści zapominają, że przypisując samobójstwo młodzieniaszka „nieszczęśliwéj miłości" wyrządzają krzywdę prawdzie i zbrodnię otaczają aureolą szlachetnego uczucia.

Badawczy umysł przekonałby się, że prawdziwym powodem samobójstwa było bezreligijne wychowanie, usunięcie ideałów z przed oczu dziecka, wmówienie, że celem całéj naszéj pracy, myśli, snu i czuwania jest zdobycie jaknajprędsze jaknajobfitszéj, smacznéj paszy. Dziecko przedewszystkiém w domu rodzicielskim wyrasta na samobójcę przez wychowanie, które wyziębia serce i daje mu przedwcześnie szpony namiętności. Piętnastoletni Gustaw..., dwunastoletnia Julka... podług korespondentów padli ofiarą zawiedzionéj miłości, a tymczasem nie miłość ale chorobliwe zdenerwowanie, próżniacze majaczenie doprowadziły dzieci te nad przepaść.

Czyż już dla wszystkich miłość straciła swą duchowość, że nawet najwidoczniejsze rozbałamucenie młodzieniaszka nazywamy uczuciem, które kieruje losami rodzin i społeczeństw? Czyż staliśmy się takimi krótkowidzami, że nie potrafimy rozróżnić miłości, co do poświęceń prowadzi, od namiętności, która tylko niszczy?

Uwagi te nasunęła nam korespondencya pani S. W., z okolic Nieświeża, która zauważyła zły wpływ, jaki wywiera na młode umysły apoteozowanie zbrodni. Pani S. W. była świadkiem jak szesnastoletni chłopiec po odczytaniu takiéj gloryfikacyi swego rówieśnika, wmówił w siebie, że i on choruje na miłość, że i o nim gazety pisać będą jak o bohaterze. Przekonanie to podsunięte młodzieniaszkowi tak nim opanowało, że istotnie zwrócił się z afektami do osoby od siebie znacznie starszéj a chociaż milczał, zaczął psuć papier na sonety i skończyłby na waryactwie, gdyby rodzice nieszczęściu nie zapobiegli.

Niechże korespondenci nie psują młodzieży, niech lepiéj obserwują powody samobójstwa, niech nie lekceważą miłości, która u dzieci i wyrostków nazywać się powinna inaczéj, nie tak pięknie i nie tak poważnie. Niech zapuszczą wzrok w życie domowe, w otoczenie towarzyskie, w ambicyą podsycaną rywalizacyą z kolegami, w pokarm umysłowy dziecka, wreszcie niech zbadają ciężkie warunki bytu, przeciążenie nauką a znajdą powody i nie będą potrzebowali rozgłaszać szkodliwych bajek.

Odurzenie dzieciaka prowadzące go do samobójstwa jest podobne do odurzenia tych młodzieniaszków, którzy cisną się do totalizatora na torze wyścigowym; i ci ostatni są przekonani, że zostali już obywatelami, ponieważ tak samo szulerują jak ludzie dojrzali i szpakowaci. Jak dla tamtych niby miłość, tak dla tych niby towarzyska zabawka jest parawanem zgubnych pożądliwości.

O demoralizującym wpływie totalizatora już tyle napisano, że trzeba mieć odwagę owego strażaka, którego postać wzniesioną na czubku drabiny widzieliśmy w zeszłym numerze naszego pisma, aby jeszcze wracać do tego samego przedmiotu, znowu gromić panów sportsmanów, którzy umiłowali konie i karty.

Wejść na szczyt gmachu za strażakiem nie miałbym odwagi, ale gdybym się znalazł na środku drabiny a ktoś mi zagroził, że drabinę podetnie i ja spadnę w ogień — a! wówczas z potrzeby stałbym się bohaterem i wdrapałbym się tam, gdzie wzrok ledwie sięga. I z totalizatorami już bym się nie wdawał ale popycha mię w ogień *Prawnik*...; nie mogąc znaleźć argumentów moralnych, znalazł on argumenty kodeksowe, któremi zmusić można panów sportsmanów do porąbania totalizatora.

Poraz pierwszy w prasie naszéj spotykamy pocisk ukuty z kodeksu a wycelowany w totalizatora; pocisk ten zaprezentował Prawnik w „Wieku"; trzeba poprzeć nowego sodalisa wołającego: zakazuję szulerni w imieniu prawa! Chociaż jestem zwolennikiem samopomocy i zgodnego załatwiania wszelkich nieporozumień, chociaż nie cierpię komorników i wszystkiego co adwokaturą pachnie—jednak w ostateczności najspokojniejszy człowiek chwyta się procesu, jeżeli dłużnik pakuje jego majątek do kufra swego a uczciwość wyśmiewa; z tych to powodów i ja uciekam się do artykułu Prawnika, który dowiódł, że totalizator należy do loteryj zakazanych.

Totalizatora zakazać a potem pozwolić, niech go przed kratkami sądowemi bronią panowie sportsmani. Byłby to ciekawy proces: moralności z graczami, wychowawców młodzieży z berejterami. Przebiegam myślą całą rodzinę naszych adwokatów pierwszorzędnych i nie znajduję nikogo, ktoby się podjął obrony narzędzia szulerskiego; każdy z nich wstydziłby się stawać w obronie sprawy, w któréj nie pozwoliłby przyjąć udziału swemu dziecku, swemu słudze, ani też sam nie umaczałby w niéj ręki.

Ciekawe byłyby argumenta sportsmanów: dowodziliby, że totalizator czyni poważny dochód instytucyi tak humanitarnéj jak wyścigi konne, że musi być pożytecznym skoro go nie zakazano, że odświeża siły duchowe młodzieży zmęczonéj nauką i pedanteryą szkolną, że emancypuje kobiety nasze, które nie mając sposobności występować na trybunie parlamentarnéj, zapoznają się z życiem publicznem na wyścigach.

Po drugiéj stronie, przeciw totalizatorowi wystąpiliby świadkowie; świadków tych trzeba by było ściągać ze wsi i z miasta, z pałaców i dworków, z kantorów handlowych i warstatów, ze szkół i z letnich mieszkań, a pewną partyą przywieźć w omnibusie więziennym. Mielibyśmy galeryą ludzi, którym totalizator był pierwszym gorszycielem.

Chyba tylko taki proces jawny otworzyłby oczy panom sportsmanom, którzy zuchwale lekceważąc opinią, zamiast grze hazardownéj stawiać trudności, starają się do tego dobrodziejstwa dopuścić najbiedniejszych i uważają totalizatora za kazalnicę, z któréj spada pokarm duchowy. W tym roku popularność téj zabawki doszła prawie zenitu: oddzielono totalizatora dla arystokracyi, przy którym można przegrać folwarki, od totalizatora dla tłumu, przy którym przegrać można tylko buty. Przy tym drugim totalizatorze dla ludku warstatowego, dla przekupniów, dorożkarzy, szwaczek i szkolnéj młodzieży trzeba będzie używać bata do zaprowadzenia porządku—taki tam pisk, ryk i kwik; zapamiętanie ludku musi być wściekłe, kiedy grający nie zważali nawet na świeżo pomalowane baryery a tłocząc się mazali sobie ręce i twarze olejną farbą. Młodzież i poważni ojcowie, aby zarobić kilka rubli nie zważali, że po odejściu z łupem wyglądają jak klowny cyrkowi, z kolorowemi plamami na nosie i policzkach. Piękna młodzież! piękni ojcowie!

Panowie sportsmani nie ustając w swéj obywatelskiéj gorliwości, pamiętać będą w roku przyszłym o piaskarzach i o góralach sprowadzanych do żniwa, w ogóle o ludziach chodzących boso.

Myślałem, że pokazawszy czytelnikom czarną stronę medalu, na którym wyrzeźbione jest pole wyścigowe, będę mógł pocieszyć go stroną białą, dokoła któréj bieży napis: *Res sacra miser*. Niestety, przeczekałem burzę lecz pogoda nie nadeszła, w Towarzystwie Dobroczynności już cicho ale hr. W. Walewski z posterunku ustąpił.

Nie liczę do swoich zasług kronikarskich podnoszenia od czasu do czasu obywatelskiéj działalności Towarzystwa, to był mój obowiązek, bardzo łatwy do spełnienia, bo ludzi którzy pracę swoję oddali na usługi ubogim i sierotom miło jest chwalić; — na poparcie znajdowaliśmy zawsze nowe argumenta pod ręką. Zdziwiła nas też wielce i zmartwiła burza, jaka zakipiała na przedostatniém zebraniu Towarzystwa; między starą gwardyą a młodymi ochotnikami, między radą jeneralną Towarzystwa a komitetem przytułku żebraków, którego kierownictwo poruczono hr. W. Walewskiemu.

Burza ta miała także swój grad; grad jaki łomotał w sali posiedzeń nie powybijał wprawdzie szyb ani wytłukł zboża ale Towarzystwu wyrządził stokroć cięższą krzywdę, bo podziurawił solidarność, jaką się powszechnie cieszyło. Podziurawienie to nastąpiło za pośrednictwem prasy warszawskiéj, która cięższe i lżejsze działa wycelowała w Towarzystwo, wycelowała

groźnie ale w uczciwym zamiarze. W téj jednomyślności z jaką broniono hr. W. Walewskiego tkwi uznanie, bo prasa nasza, chociaż jak prasa całego świata czasem puści bąka lub niesłusznie kogoś ugryzie, dba o powagę naszych instytucyj, szczególniéj tak zasłużonych jak Towarzystwo Dobroczynności.

Na téj jednomyślności i my opieramy swoje zdanie; poraz pierwszy nie możemy dać całego głosu za Towarzystwem, chociaż przy rozprawach nie byliśmy a obie strony sporne szanujemy. Hr. W. Walewski zebrał przeszło siedm tysięcy rubli na przytułek dla starców i myślał, że zbiera na budowę domu, którą już się nawet zajął; tymczasem Towarzystwo na dom się nie zgodziło a tylko owe ofiary postanowiło wydać na przekarmienie i przezimowanie ubogich, których, gdy fundusz się wyczerpnie, trzeba będzie znowu na żebraninę wypuścić. Czyj projekt był lepszym, w to nie wchodzę, bom projektów nie badał, wierzę tylko, że obie strony chciały jaknajlepiéj ale brakło w zgromadzeniu osoby, coby potrafiła pogodzić prawo wrosłe w obyczaj z nowatorstwem ruchliwém. Nie przypuszczam ani na chwilę w téj sprawie samolubstwa, nie przypuszczam dziecinnéj igraszki robienia komuś na złość, jakkolwiek pozory mogłyby to podejrzenie nasunąć. Niefortunne były odezwania się stronników rady jeneralnéj, któréj słusznie powinny ulegać wszelkie komitety i podkomitety; jątrzyły one tylko a nawet obrażały moralność, bo nie godziło się lekceważyć nadziei w pomoc Bozką, pod dachem instytucyi, która codziennie powtarza: *Miłosierdzie to rzecz święta;* — przecież świętość w chrześciańskiém pojęciu z Boga pochodzi.

Więc nie było żywiołu co zgodę zaprowadza; zawierucha wojenna, która nurtuje całą Europę, zawitała i w ciche mury Towarzystwa, zamiast zgody rozwinęła się tyralierka dyplomatyczna, zakończona ustąpieniem hr. W. Wielka szkoda! Hr. W. od niedawna zjawił się na polu filantropii warszawskiéj a już zrobił bardzo dużo: energiczny, pomysłowy, wytrwały, łatwy do zawiązywania stosunków, zgromadził w koło siebie sporo sił młodych, nie wyczerpanych jeszcze ciągłém czuwaniem na widecie. Kilka wystaw urządzonych jego staraniem doznało powodzenia i zdobyło na cele filantropijne obfite plony; on to rozszerzył horyzont dobroczynności warszawskiéj, która znała tylko bazar, teatr amatorski, koncert i zabawę kwiatową. Trudno! tam na nogach sfatygowanych nie dojdziemy, gdzie trzeba nóg młodych i zdrowych; ale i ten co biegać już nie może jest pożytecznym swém doświadczeniem. Mamy błogą nadzieję, że hr. W. znowu znajdzie się w gronie członków Towarzystwa, znowu zacznie pracować razem ze starą gwardyą, która pięknie robi, że nie odstępuje dowództwa ale powinna także pamiętać, iż ręka zdolna utrzymać z godnością pieczęć kanclerską, często bywa zasłabą do odpędzenia takiéj srogiéj bestyi jak nędza.

Idąc po nitce, wypadałoby coś powiedzieć o codziennym deszczu, który jeśli padać nie przestanie, to parasolników zbogaci a gospodarzy zgubi; już w wielu okolicach niżéj położonych kartofle pogniły i na ich miejsce posiano co było pod ręką, aby znowu deszcz miał co wypłukiwać a mszyce podgryzać. Niestety, nieszczęściu nie zapobiegnę, wody nie wypiję, w gospodarza nie wmówię, że wysoką ceną pszenicy wynagrodzi sobie wszystkie straty; wolę więc przypomnieć sobie wesołe miny wełniarzy, którzy w tym roku poszycie owcze sprzedali dobrze, wyżéj o kilkanaście talarów od ceny zeszłorocznéj, i pierwszy raz od lat kilku nie oni kupcom ale kupcy im bardzo nizko się kłaniali.

Warszawa od wełniarzy nie wiele zarobiła — zmądrzeli! Obywają się już bez delikatesów, nie przyjeżdżają do nas aby użyć ale spieniężywszy towar wracają w domowe progi z sumką nienadwerężoną. Co to za różnica od owych czasów, kiedy to wełniarzami były zapchane wszystkie loże pierwszego piętra, wszystkie pokoje handelków i piwnic; i dziś odbywają się sesyjki ale przy szklance herbaty a przedmiotem pogadanek jest spółka gorzelniana, handel produktami wiejskiemi lub cudowna metoda p. Korzybskiego, inżyniera-agronoma, który z piasku bicz ukręcił, bo na dawnych bagnach, sapach, wydmach sieje pszenicę; nie tylko sieje, bo to każdy potrafi, ale nawet ją zbiera.

O metodzie p. K. tyle cudów opowiadają ci, co zwiedzili jego gospodarstwo, że aż mię ochota bierze rzucić do licha pióro a powrócić do brony i pługa. P. K. umie drażnić żyłkę gospodarczą w człowieku, radzi krótko i węzłowato: orz zagony nie w poprzek ale wzdłuż spadku naturalnego wody podskórnéj a będziesz miał pola urodzajne. Ach! czemuż o tém nie wiedziałem przed kilkunastu laty, nie miałbym dziś przed oczyma szatańskiéj fizyonomii sekwestratora, który na paluszkach wsuwał się do mojéj kancelaryi i zginając się w pokłonie judaszowskim: „Przyjechałem pana dobrodzieja zlicytować"—szeptał z takim słodkim uśmiechem, jakby mię zapraszał na preferansa z dziadkiem, któremu niestety poświęcałem cały czas, jaki do gospodarstwa należał.

Ponieważ i dziś jeszcze mam pasyą do preferansa z dziadkiem, więc wątpię, żeby mię mogło zbawić oranie wzdłuż spadku wody podskórnéj i wolę te kilka tysięcy, co zostały z habendy, wpakować już nie w rolę ale... w wieprzowinę.

Mamy spółkę do wyrabiania tanich lodów, pierników zdrowia, okryć damskich, kapeluszy z sierci leporydów pana Serkowskiego, serów szampańskich i wina szwajcarskiego, będziemy mieli spółkę do wyrabiania wędliny dla cudzoziemców, czyli, że wędlina będzie smaczniejszą i piękniéj podaną niż ta, jaką nas karmią rzeźnicy warszawscy.

Ziemianie grójeccy, pomiędzy którymi są i hrabiowie, zawiązali spółkę do wypasania wieprzy i zarazem do wyrabiania z nich salcesonów, kiełbas, szynek, pasztetów, kotletów na gorąco i na zimno. Już kilka sesyj zeszło na traktowaniu tych przedmiotów, a chociaż była mowa o głowiznie i schabie, nikt ani razu nie powiedział—zapozwoleniem!

Cobyś rzekł na to ś. p. Prezesie... w Kaliszu, przejęty zgrozą, że urodziwy, grzeczny akademik, ale syn wieprzarza, śmiał zaprosić córkę twoję do poloneza.

— Polonez do nas należy!—zawołał oburzony ojciec.

— A do nas co?—zapytał zmieszany akademik.

— Do was koryto!—indyczył się pan prezes.

Los zemścił się: akademik dziś jest sławnym lekarzem a panna rutkę sieje.

Spółka będzie wywozić szynki do różnych krajów, a w Warszawie i na prowincyi pozakłada sklepy eleganckie, przedewszystkiém czyste. Jak nam takich sklepów potrzeba! Nie jest grzechem, że ktoś tęskni do zagranicznego komfortu, kiedy u siebie nie może zjeść nawet serdelka bez towarzystwa muchy, kiedy stół marmurowy, czysty fartuch, nóż w srebrnéj oprawie rzeźnicy nasi uważają za przesadę. I niektóre warszawskie sklepy rzeźnicze poubierały się po paryzku: w kwiaty i boazerye, ale dziś kwiaty te papierowe wyglądają jak z komina a na boazeryach pająk siatkę przędzie.

Cieszcie się mieszkańcy Suwałk, Radomia, Lublina... a nawet Miechowa i Szydłowca; będziecie mieli sklepy porządne, czyste—z towarem tanim i smacznym, ale kupując w nich serdelki lub głowiznę musicie mieć przy sobie rewolwer, bo rzeźnik staréj daty czatować na was będzie.

. . . .

Sęp.

---

# SOBEK.

## OBRAZEK Z ŻYCIA AKADEMICKIEGO

PRZEZ

*Michała Bałuckiego.*

---

Na jasném i barwném tle koleżeńskiego życia z czasów akademickich, rysuje mi się w pamięci ciemna, ponura sylwetka jednego z kolegów, którego nazywaliśmy *Sobkiem*, bo żył tylko w sobie i dla siebie, stronił od nas, zagrzebany w książkach jak mól i zajęty lekcyami prywatnemi, które stanowiły jego utrzymanie. Po za temi zajęciami nic go nie obchodziło, nie zajmowało.

Pamiętam dobrze jego czarną, gęstą, krótko strzyżoną czuprynę, która wyglądała jak szczotka okrągła; jego bajową, kosmatą bundę, którą zakrywał różne braki i niedostatki swojéj garderoby; jego chód ciężki, który zdaleka już rozpoznawaliśmy po uderzeniach podkutych butów o chodnik. Idąc trzymał się zawsze pochyło, nie patrząc na nikogo i nie podnosząc prawie nigdy głowy do góry; dlatego jeden z dowcipnisiów utrzymywał, że Sobek nie miał dokładnego wyobrażenia jak właściwie wygląda słońce, niebo, gwiazdy, bo ich nigdy jeszcze nie widział.

I rzeczywiście tak się wydawało, że świat, natura, ludzie byli mu całkiém obojętni. W ciasnéj przestrzeni nauki i obowiązków zasklepiony, żył odosobniony od ludzi jak górnik w głębi kopalni, kuł od rana do nocy, a nieraz i późno w noc, aby wykuć sobie lepszą dolę, zarobić na kawał chleba; praca ta nie przychodziła mu tak łatwo, bo był dosyć tępego pojęcia i małych zdolności.

Czy miał rodzinę i gdzie, zkąd przybył do szkół? — o tém nikt nie wiedział i on nikomu nigdy o tém nie mówił. Od czasów gimnazyalnych znałem go zawsze samego, zawsze zarabiającego lekcyami na swoje utrzymanie. Lekcye te były liche i niewiele przynosiły mu dochodu, tyle tylko, że przy nich nie umierał z głodu i nie chodził bez butów; ale obywać się często musiał bez wielu potrzeb. Nieraz pod bajową bundą nie było surduta, gdy go dał krawcowi do wyłatania; nieraz papierowemi kołnierzykami zastępował płócienne, gdy praczka nie przyniosła na czas bielizny lub nie było czém za pranie zapłacić. W zabawny sposób przyszliśmy do odkrycia tego sekretu toaletowego.

Trzeba było wypadku, że Sobuś w pospiechu czy roztargnieniu użył do fabrykacyi kołnierzyka papieru, który z jednéj strony zapisany był znakami metrycznemi, jambami i heksametrami a zapewne z braku lusterka, którego zdaje się nigdy nie używał, tę właśnie zapisaną stronę wywinął na widok publiczny. Można sobie wyobrazić ile było śmiechu, gdy tak wystrojony pokazał się w lektoryum; co mu się który przypatrzył, wnet wybuchał głośno i pokazywał go palcem drugim. Zrobiło się zbiegowisko koło niego a koncepta wesołe i żarty, na temat kołnierzyków, sypały się obficie. Sobek nie domyślając się z początku o co idzie, nasrożył się i jak dzik obskoczony przez psiarnię cofał się ku ścianie; dopiero gdy z kołnierzyków jego jak z nut poczęto skandować i wyśpiewywać greckie heksametry, zmiarkował wszystko, zaczerwienił się jak rozpalone żelazo, wyszarpnął papierowe kołnierzyki z za chustki i, zgniótłszy je w rękach, schował do kieszeni. Odtąd, gdy go nie stać było na czysty kołnierzyk, przychodził zwykle bez żadnego, tylko w chustce związanéj wysoko pod samę brodę albo stawiał kołnierz surduta do góry.

Byli tacy, którzy widząc jak ciężko borykał się z losem chcieli mu dopomódz, ale pogardził ich pomocą odpowiadając opryskliwie, że on łaski nie potrzebuje. Było to nie bardzo grzecznie, ale ta ambicya biedaka podobała się nam i jednała pewien respekt dla tego szorstkiego, nieokrzesanego mruka. Kochać go trudno było ale musieliśmy szanować za tę cnotę spartańską, z jaką znosił swoje ubóstwo.

Sam sobie był panem i sługą, sam zamiatał, czyścił buty, palił w piecu, do którego wieczorem znosił pod bundą drzewo i węgle od przekupki z przeciwka. Bunda owa służyła także do transportowania innych rzeczy, jak brudów do praczki, butów do szewca etc., a czasem także niektórych wiktuałów, np. mleka lub maślanki z miasta. Raz nawet zdarzyła mu się z tém mała przygoda, która go wielkiego wstydu nabawiła: jakaś bowiem pani, któréj syna uczył, spotkała go właśnie w czasie, gdy niósł sobie pod bundą ukryty garnczek z maślanką a mając do niego jakiś interes... zaczepiła mimochodem. Sobkowi niespodziewanie zagadniętemu pomieszało się w głowie—zamiast czapką garnkiem się ukłonił, oblewając wystraszoną kobiecinę potokiem maślanki.

Były to epizody, które go czyniły śmiesznym w oczach ludzi ale na dnie téj śmieszności była pewna tragiczność, gdy się pomyślało, z jakiemi trudnościami przychodziło mu zdobywać sobie najmniejsze przyjemności życia, zaspakajać najniezbędniejsze potrzeby. Bywały dnie takie, szczególniéj przed pierwszym, w których musiał poprzestawać na suchym chlebie; nie mówię tego wcale pod przenośnią, bo nieraz chleb, którym się żywił, krajany codzień oszczędnie, po kromeczce, dochodził do takiéj twardości, że w wodzie trzeba go było moczyć, aby ugryźć można.

Mogłem łatwiéj niż kto inny podpatrywać te smutne tajemnice jego życia, bo mieszkałem w tym samym co i on domu, tylko piętro niżéj. Właściwie mówiąc, ja mieszkałem na ostatniém piętrze a on na strychu, gdzie przemyślny właściciel kamienicy oszalował deskami pewną przestrzeń przeznaczoną na wieszanie bielizny, oszklił dymnik szybkami i zrobił z tego pokoik, który kształtem i rozmiarami przypominał pakę z fortepianu. Maleńki, żelazny piecyk z przepaloną rurą był prawdziwie zbytkownym meblem w téj izdebce, bo parę patyków i kawałek węgla rozpalały go do czerwoności i dawały ciepło łaźni, duszne i parne; ale za małą chwilę całe to ciepło uciekło rurą i było zimno jak w psiarni, bo i drzwiami wiało i przez szpary okna śnieżek nawet zalatywał do izdebki. Sobek wtedy otulał się czém mógł—wiechetkami słomy nogi a plecy potarganą kołdrą i, przy świetle kuchennéj lampki, kamieniem siedział po nocach nad zgłębianiem tajemnic filologicznych.

Próbowałem parę razy zaprosić go do siebie, na studencką wieczerzę, ale się nie dał namówić. Uwzględniając tę jego drażliwość użyłem fortelu, aby się zbliżyć do niego: pod pozorem, że u mnie piec dymi, wprosiłem się do niego dla zrobienia herbatki. Skromna to bardzo była herbatka, nie na samowarze, bo na taki zbytek fundusze nie pozwalały, ale poprostu w blaszanym garnuszku zagotowana;—do tego odrobinka araczku dla smaczku, parę serdelków z obwarzankami, i była uczta, która jemu wydawała się lukullusową. Namówiłem go bowiem do spożycia jéj razem ze mną, miał do tego prawo, jako dający opał; nie była to więc darowizna ale spółka, i dlatego jadł i pił bez skrupułu. Jadł powoli, delektując się każdym kąskiem, aby mu na dłużéj wystarczyło a popijał z takim smakiem i mlaskaniem, jakby to był nektar jaki.

Działo się to właśnie w ostatni dzień karnawału, okno w dymniku trzęsło się, drżało co chwila od turkotu powozów przewożących przez ulice postrojone damy i wyfraczonych panów; z wielu domów, rzęsiście oświetlonych, dolatywały dźwięki fortepianu, skrzypcowe tony i tupania tańcujących; nawet w szyneczkach i piwiarniach wojskowe muzyki i katarynki przygrywały ostatnim szalonym podrygom karnawału, ale nie wiem, czy wśród téj ogólnéj wesołości czuł się kto bardziéj zadowolnionym i szczęśliwym jak mój Sobuś, gdy trzymając szklankę w obu rękach popijał z niéj gorącą herbatkę. Gorąco i araczek rozmarzyły go troszkę, zwiędłą twarz rozpaliły rumieńce wypieczone, oczy przymrużył jakby półsenny i kiwając głową, powtarzał:

— Delicye, jak Boga kocham!

Gdy jednak w piecu schłódło a szklanki się wypróżniły, wnet oprzytomniał; przypomniały mu się twarde obowiązki życia i z przestrachem zawoławszy: A! rany Bozkie, tożto ja nic nie robię—zatopił się znowu w książkach.—Ty możesz także u mnie posiedzieć, skoro u ciebie się nie pali—rzekł po chwili, niby odwdzięczając mi się za traktament.

Skorzystałem z zaproszenia i wyjąłem z kieszeni tomik poezyj Słowackiego; był to dla nas wtedy owoc zakazany. W szkołach zaledwie słyszało się co nieco o Mickiewiczu; „Powrót taty", „Pani Twardowska", niektóre wyjątki „Pana Tadeusza" w wypisach — to był cały nasz Olimp nowoczesny, ale o Słowackim głucho jeszcze było. Starzy profesorowie nazywali go z ubolewaniem niezrozumiałym fantastą i nie radzili zaprzątać sobie nim głowy. To właśnie było pokusą i zwiększało urok; młodzież poza plecami starszych wykradała się na słodkie sam na sam z poetą, z jego namiętną muzą, więcéj sercem jak głową odgadywała zawiłe myśli zaklęte w czarownych pieśniach i dumna z tego, że odgadła to, co dla starszych było niezrozumiałém, miała się za wyższą od nich a może i rozumniejszą, podczas gdy była tylko gorętszą i serdeczniejszą. Kult Słowackiego kwitnął wtedy między młodzieżą w całéj potędze, dochodząc nieraz aż do bałwochwalstwa; czytało się a raczéj pochłaniało się jego utwory, deklamowało się, śpiewało, wypisywano sobie z niego całe ustępy—naśladowało się nawet w jego

słabościach i u każdego akademika z gorętszém sercem i bujniejszą wyobraźnią można było na pewno znaleźć zawsze jaki tomik poezyj Słowackiego, jeżeli nie w kieszeni, to pod poduszką lub na stole.

U mnie w téj chwili znalazł się w kieszeni.

— Co ty czytasz?—spytał po chwili Sobek, rzucając przelotne spojrzenie na moję książkę.

— To Słowacki.

— A, Euzebiusz Słowacki, co pisał o stylu.

— Nie, syn tamtego—Juliusz.

— Juliusz? To nie znam...—rzekł obojętnie.

— Nie znasz Juliusza Słowackiego? Bój się Boga, nie przyznawaj się przynajmniéj do tego.

— A cóż to za jeden?

— Poeta.

— Tak? I nie szkoda ci to czasu na czytanie takich rzeczy?

— Nie mówiłbyś tego gdybyś wiedział, co to za skarby poezyi. Posłuchaj tylko... czytam właśnie „Ojca zadżumionych". Przeczytam ci jeden ustęp.

— A może to bardzo długie?—spytał z obawą.

Pokazałem mu ustęp obejmujący zaledwie kilkadziesiąt wierszy.

— Ha, no, przeczytaj —rzekł zaznaczając sobie w swojéj książce miejsce, gdzie przestał czytać.

Zacząłem.

Słuchał z początku z przymusem, roztargniony, po kilkunastu jednak wierszach stał się uważniejszym, przysunął się bliżéj do mnie i pochyliwszy się nad książką słuchał z zajęciem.

— No, a co?—spytałem go po skończeniu ustępu.

— Wiesz ty, to wcale nie złe. Czytajno daléj.

Rozpocząłem więc następujący ustęp, a że mi Sobek nie przerywał i słuchał ciągle, więc przeczytałem jeszcze jeden ustęp, potem jeszcze jeden i jeszcze jeden, i tak doszedłem aż do końca poematu. Kiedy po skończeniu spojrzałem na Sobka, ten miał twarz rozpaloną więcéj jeszcze niż przy herbacie a oczy świeciły mu się niezwykłym blaskiem.

— A co? — spytałem z tryumfującą miną — prawda, że prześliczne?

— A ładne — rzekł usiłując otrząsnąć się z odurzenia i zachwytu, który go owładnął całego. Dalibóg ładne.—To ja nie myślałem, że ten Słowacki taki majster!

Wtem zegar zaczął bić na maryackiéj wieży.

— Cicho no!—rzekł —która to godzina?

— Druga.

— Rany Bozkie! co się to czasu zmarnowało,—zawołał jakby z wyrzutem.

— Więc ty to nazywasz zmarnowaniem czasu?

— Alboż nie? Co nam z tego przyjdzie, choćby to było dziesięć razy ładniejsze? Na cóż się to przyda?

— Uszlachetniasz tém duszę, rozgrzewasz serce.

— Wierszami? — spytał naiwnie z niedowierzaniem.

— Poezyą. Dlaczego czytasz Homera?

— To znowu co innego: Homer przecież potrzebny do egzaminu.

— Więc ty tylko dla egzaminu czytasz Homera?

— No a dlaczegóżby innego? Przewertowałem go teraz na wylot, bo mam właśnie do egzaminów piśmiennych wygotować rozprawę o partykule *an*, ile ona razy przychodzi w Iliadzie i w jakiém znaczeniu. To nie mała praca. Dlatego, mój kochany, nie zaprzątaj ty mi więcéj głowy takiemi głupstwami, bo ja nie mam czasu na to.

I od tego wieczoru, jakby się bał, abym go więcéj nie skusił do czegoś podobnego, wyraźnie mnie unikał a nawet parę razy niegrzecznie drzwi mi zamknął przed nosem, gdym się zapędził do niego.

Dałem mu więc spokój; samotny odludek został znowu poza granicami naszego koleżeńskiego życia, które w tym właśnie czasie wrzało i burzyło się jak młode wino.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

---

# Z KRAINY PIĘKNA

## TEATR.

Mówiąc o pięknie, zapomina się zwykle o tendencyi; w wyjątkowych tylko razach tendencya nie usuwa artyzmu na plan drugi lecz kojarząc się z nim—zadawalnia wykształconego widza. To skojarzenie łatwo następuje jeśli i tendencya jest piękną, jako droga wiodąca po różach lub cierniach do celu szlachetnego. Tendencya w komedyi K. Zalewskiego jest namacalną: dać możność żydom skończyć nareszcie swój żywot paryasów a społeczeństwu ułatwić paryasów tych nazwać szczerze braćmi swoimi. Wzajemność tę oparł autor na doskonałości charakterów, które formują się z innych pierwiastków u żydów i chrześcian, lecz w końcu sztuki schodzą się z sobą przy pracy dla spólnego dobra ogółu. Autor proces przeszłości z przyszłością przeprowadził zgodnie ze stanem obecnym społeczeństwa i z naturą ludzką. Społeczeństwo w obyczajach swoich, tradycyi, przesądach i usprawiedliwionéj niechęci przedstawia przeszkody do zasimilowania żydów; natura zaś ludzka przez swoje wyszlachetnienie przeszkody te usuwa powoli.

Stary Apfel, przemysłowiec, połączył się ze społeczeństwem ale tylko rozumowo; straciwszy wiarę w przyjście Messyasza, jako człowiek nie znoszący żadnych obiecanek, wolał przyjąć wiarę chrześciańską i skojarzyć się z większością niż błądzić daléj w mglistych spodziewaniach. Na takich obywateli społeczeństwo może rachować tylko w chwilach swéj pomyślności, do ofiar cichych nie są oni jeszcze zdolni, pomimo ambicyi kupieckiéj; conajwięcéj społeczeństwa umyślnie nie zgubią ale bronić go nie będą. Dopiero syn Ernest Apfel przekroczył stanowczo granicę samolubstwa—oddał on społeczeństwu ciało i duszę, oddał majątek, pracę, zdolność, odda i życie jeśli tego zajdzie potrzeba. Ernest więc jest doskonałością, jest on obywatelem, na jakich matki i ojcowie mają święty obowiązek wychowywać dzieci swoje. Nad Ernesta ani autor „Małżeństwa Apfel", ani żaden inny nie wynajdzie typu sympatyczniejszego; mogą być tylko drogi inne, może praktyczniejsze i prędzéj wiodące do celu.

Sprzeczka o to, jaka droga byłaby pewniejszą i krótszą niż miłość Ernesta dla córki szlacheckiéj, zadalekoby nas zaprowadziła; z rozumowania narodziłaby się inna zupełnie komedya, a my mamy za zadanie mówić tylko o tém, co mamy przed oczyma.

Z treścią komedyi skończymy zwięźle, mówiąc, że jest jasną, bez żadnych furtek, przez które autor w razie natarcia krytyki łatwo się wymknąć może. Autor nasz chce zlania się żywiołu żydowskiego z całém społeczeństwem, w imię spólnych celów, ale nie oznacza terminu kiedy ono nastąpi. Wyraźnie powiada, że do takich doskonałości jak Ernest przychodzi się po mogiłach takich ojców jak stary Apfel, a że starych Apflów w naszém społeczeństwie jest jeszcze bardzo mało, więc dużo wody upłynie zanim Ernest stanie się czynnikiem odrodzenia. Trzeba najprzód zmieść z ziemi takich pasożytów jak Grünbrust i całe jego otoczenie, razem z kobietami próżnemi, rozpustnemi i szachrującemi do spółki z mężami, braćmi i dziećmi. A to robota olbrzymia; rodzina Grünbrustów ma u nas miliony synów, córek, wnuków i prawnuków... długo więc jeszcze czekać trzeba zanim komedya stanie się zwierciadłem rzeczywistości. Autor traktat o emancypacyi żydów przedstawił nam jak poeta; ekonomista, filozof, wódz zresztą inaczéj by ją rozwiązywał, ale czy skuteczniéj?... Gdzie idzie o zgodę trwałą, tam serce musi odegrać rolę pośrednika.

Mniéj nas obchodzi druga część komedyi tendencyjnéj, a mianowicie ta, w któréj autor pokazuje wady klasy szlacheckiéj, odstręczające żydów od garnięcia się duszą całą do ludzi, którzy prawiąc o honorze i ideałach, kochają pieniądze jak pierwszy lepszy lichwiarz, nie lubiąc tylko zajadłéj walki, jaką żyd stacza dla zdobycia dukata. Reforma staréj i młodéj szlachty, w któréj łonie jeszcze spoczywa dużo prometeuszowego ognia,

może wystarczyć na tendencyą pierwszorzędną, więc historyą rodzin Czaputkiewiczów, Rolewskich i t. d., w komedyi „Małżeństwo Apfel", uważamy tylko za epizod konieczny dla całości i kontrastów, nie wyciągając z niego głębszych wniosków.

Ta mozaika dwóch światów, bankierskiego i szlacheckiego, dała autorowi możność świetnego wyrzeźbienia kilku typów zupełnie oryginalnych: stary Apfel, doskonale grany przez p. Ładnowskiego, to typ człowieka, który pomimo pokostu, jaki mu dała nowa wiara, nowe towarzystwo i znaczenie, zachował w duszy zaciętość wiary staréj, hardość paryasa, pokorę biedaka, który musiał znieść obelg tysiące zanim wypłynął z tłumu. Młody Ernest mógłby być bohaterem książęco rasowéj rodziny, a jednak w subtelnéj grze p. Tatarkiewicza przypomina pochodzenie, wprawdzie słabém bardzo echem ale zawsze przypomina, i to sympatycznie; cieszy nas podniesienie ku słońcu tego, co mogło zginąć w bagnie mamony.

Do tych dwóch figur szlachetnych należą młody obywatel Leon Rolewski i Zofia, żona Ernesta, z domu Czaputkiewiczówna; ale pomimo rysunku starannego, uważamy tę drugą parę za podrzędną, stworzoną dlatego, aby komedya miała i dramacik miłosny, obok dramatu społecznego. Do téj pary widz nie tęskni, chociaż mówi ona dużo rzeczy prześlicznych... przez usta panny Wisnowskiéj i p. Prażmowskiego.

Zato wszystkie figury ujemne nie schodzą nam z oczu; że pasibrzuch Czaputkiewicz w grze nieśmiertelnego Żółkowskiego jest mistrzowstwem, to nic dziwnego, ale i p. Grzywiński miał z czego ulepić typową postać pyszałka a zarazem franta Walentego Rolewskiego, któregobym nie zrobił nawet pisarzem gminnym, chociaż ma pychy za stu karmazynów. Albo ów Grünbrust, pana Ostrowskiego—jaki to marcepan artystyczny, chociaż aż cuchnie oszustwem i głupotą. Pani Lüdowa nie miała nic nowego do grania, ale że wprawa prowadzi do doskonałości, więc i jéj wdówka Matylda była bez zarzutu w świecie zepsutym, chociaż pełna grzechu przed konfesyonałem. Pani Niewiarowska dobrą była Czaputkiewiczową lecz z winy autora wstrętniejszą jeszcze niż jéj mąż.

Drobne role: aktorki najętéj do deklamacyi w salonie, hr. Karola i pieczeniarza Dąbkiewicza, odegrali intelligentnie panna Trapszówna, wiele obiecująca artystka, panowie Wolski i Szymanowski. Reszta komparsów, wraz z dekoracyami, maszyneryą... nazywa się... p. Tatarkiewicz, który w téj sztuce zasłużył na oklask podwójny: dla aktora i dla reżysera. On to poruszał lokajami, kamerdynerami i i t. p. figurami, co nic nie mówią lub kiwają głowami; bez reżyserstwa panowie ci i panie (nie mówię o osobach tylko o urzędach) albo stoją w kupce pod ścianą, albo przestępują z nogi na nogę, albo drzemią sobie, jakby czekali w przedpokoju na rautowe państwo.

A o strojach nic nie powiesz? zapyta czytelniczka rozciekawiona kuryerami, opisującemi z zachwytem suknie, kapelusze, wachlarze i rękawiczki po samę szyję. Artystki postrojone były jak prawdziwe magnatki; dopytywałem się wtajemniczonych, kto za te wszystkie zbytki zapłacił? Jeśli same artystki, to powinszować im sytuacyi. „To za pieniądze kasy teatralnéj" odpowiedział mi znawca.

Coza postęp! Niedawno strojono artystki tylko w sztukach zagranicznego pochodzenia, dziś nawet polski autor nie potrzebuje zazdrościć Dumasowi. I nasz kopciuszek nareszcie dostał złote pantofelki i szatę tak gustownie uszytą, że gdybym był aferzystą, starałbym się o monopol umieszczania firm krawieckich na fałdach sukien, co się jak węże atłasowe snuły po scenie.

Wł. M.

---

# ŚWIĘTA.

## OPOWIADANIE DZIEJOWE

**Arweda Barine'a.**

(*Dalszy ciąg.*)

Pod tę porę Mariano posłyszał, iż w pewnéj pustyni, w okolicach Sewilli, żyła gromadka pustelników, ćwicząc się w świętości lecz zachowując przytem wszelką osobistą niezależność. Porzuciwszy dworską służbę, przyłączył się do nich i do ośmiu lat żył w odosobnieniu, gdy przypadkowo spotkał św. Teresę, która odrazu postanowiła zyskać go dla swojéj sprawy. Dał się przyodziać w habit i dzielnie przyczynił się do reformy karmelitów. Do końca życia swego jednakże pozostał nieustraszonym i zuchwałym śmiałkiem, gwałtownym w swoich wybuchach i skorym do karania przestępnych. W chwilach krytycznych, gdy należało sprawę jaką zostawić czasowi, lub uciec się do dyplomatycznych wybiegów, szczerością swoją i popędliwą gorliwością przyprawiał on nieraz o rozpacz św. Teresę.

Katarzyna de Cardonne, którą nasza święta ceniła wysoko, była jeszcze oryginalniejszą postacią owéj epoki. Była ona księżną i pochodziła w prostéj linii od królów Aragonu. W trzynastym roku rodzice chcieli ją wydać zamąż, lecz ślubowała sobie pozostać w panieństwie i prosiła Boga, aby ją wybawił od wstrętnych więzów. Istotnie narzeczony jéj umarł, a gdy postarzała latami i doświadczeniem, Filip II powierzył jéj również edukacyą don Karlosa i don Juana, liczących wówczas lat czternaście.

Dopełniła ona przykładnie obowiązków swoich, poczém pewnéj księżycowéj nocy wymknęła się przez okno pałacu, obcięła długie swoje włosy—przywdziała męzki strój zakonnika i poszła szukać pustelni w któréjby mogła żyć zdala od ludzi i świata. Po latach kilku, pastuszkowie odkryli jaskinię w któréj trwała w pokucie i rozmyślaniu, żywiąc się jagodami i sypiając na posłaniu z mchów i liści zeschłych. Nikt nie domyślał się w niéj kobiety i damy dworskiéj; zdradziły ją listy don Juana, które upuściła w jaskini, i powiększyły jeszcze jéj sławę. „Bywało—pisze św. Teresa—że całe ustronie leśne zapełniało się wozami ludzi przybywających w odwiedziny do niéj. Ostatecznie zdecydowała się założyć klasztor, ale klasztor męzki, któremuby przewodniczyła w męzkiém przebraniu. W tym celu udała się do Eskurialu, żądając pieniężnego zasiłku, i wielkie zyskała powodzenie u dworu. Nuncyusz papiezki zaprotestował przeciw jéj ubiorowi i imponującemu obejściu; tłumaczyła się jednak tak sprytnie, że skończyło się na tém, iż nuncyusz jéj udzielił swego błogosławieństwa i zostawił w spokoju. Założyła więc klasztor karmelitów na pustyni — zatrzymała ubiór swój męzki i w sąsiedniéj jaskini dokończyła bogobojnego życia. Ojciec Mariano i Katarzyna de Cardonne rozumieli się wzajemnie, bo były to pokrewne sobie, ogniste dusze, zapalone płomieniem Bożéj miłości. Rozumiała ich też nasza święta i niekorzystne mniemanie miała o tych, którzy oryginalność ich poczytywali za szaleństwo.

Atmosfera duchowa w któréj gdzieniegdzie krzewiły się takie nadzwyczajności, jak te które wyżéj przytoczyliśmy, nie była może bez światowéj przymieszki ale w każdym razie miała w sobie ciepło duchowe, które chroniło od obojętności i martwoty. Ciepło to rozwinąć miało plon dobrego ziarna, rzuconego do ziemi. Święta Teresa miała lat 45; myśli jéj uporządkowały się już a plony dojrzały w ukryciu; wiedziała do czego dąży, ku jakiemu celowi zmierza. Siostry posądzać ją zaczęły o umysłową chorobę; drugie mniemały, iż ją szatan opętał; pogłoska o tém nieszczęściu rozeszła się po Awilii. Święta nie przeczyła niczemu, w pokorze i modlitwie gotując się do spełnienia wielkiego dzieła, do którego Bóg ją powoływał.

### IV.

Zakon karmelitański pochodził z Palestyny i szeroko był rozgałęźniony po całéj Europie; regułę nadał mu patryarcha Jerozolimski, Albert—około 1200 r. Była ona surową, przepisując umartwienia, posty i oderwanie zupełne od świata. Rozluźnienie ogólne zasad moralnych w XIV wieku przeniknęło aż do karmelitów, i przełożony zmuszonym został przez swoich zakonników, prosić Ojca Ś-go Eugeniusza IV-go o złagodzenie zbyt surowych przepisów pierwszego fundatora. Oswobodzeni od ścisłego rygoru karmelici, powoli dążyć zaczęli do uzyskania coraz więcéj swobody. Pustynia w Sewilli stała się miejscem tak rozkoszném i wesołém, że zdawała się być przedsionkiem raju.

Żeńskie zgromadzenie karmelitanek założoném zostało przez Jana Soreth, jenerała zakonu. Normandczyk ten o cie-

mném, ogorzałém licu, którego przezywano etiopejczykiem, — poprzedził św. Teresę na drodze reform wewnętrznych; usiłował on przywrócić klasztorom dawną regułę, i w tym celu jeździł od domu do domu, wzywając do umartwień i pokuty. Zakonnicy witali go z trwogą i przerażeniem, graniczącém z nienawiścią. Umarł on otruty, nie doprowadziwszy zamiaru swego do celu. Po jego śmierci, zarówno męzkie jak żeńskie zgromadzenia wróciły napowrót do złagodzonéj reguły.

Św. Teresie, skromnéj i ubogiéj zakonnicy, niemającéj znikąd poparcia żadnego, przypadło w udziale dokonać wielkiego dzieła reformy, któremu nie podołał mąż silnego charakteru i ducha. Wierzyła ona w posłannictwo swoje i to jedno dodawało jéj odwagi; mistyczny nastrój jéj rósł i potężniał z wiekiem, dojrzewając latami wyczekiwania i wewnętrznéj pracy; w owéj epoce jéj życia, mistycyzm ten był w pełnym rozwoju. Wielka i natchniona nauczycielka, która wzrokiem ducha badała najgłębsze tajniki prawd wiecznych, była zarazem najskrzętniejszą gospodynią; nieraz odrywała się od kontemplacyi rzeczy duchowych, aby zastanawiać się, jaką zupę wymyśleć dla urozmaicenia skromnéj klasztornéj strawy.

Przedmiot to drażliwy, lecz św. Teresa traktowała go z taką prostotą i otwartością, że nie dziwimy się wcale. Zdaniem jéj należało niedowierzać zbytniemu rozdrażnieniu nerwów i strzedz się zubożenia krwi, a grasującą epidemią zachwytów i widzeń nadnaturalnych leczyć zapomocą mięsa i snu ożywczego. Wyznaje ona otwarcie, że połowa wrzekomych jasnowidzących ulega umysłowemu osłabieniu, i zamiast wpadać w podziw, gdy który klasztor odznaczał w się tym względzie, zwykła mawiać: „Gdybym ja tam była i zabrała się was leczyć, wszystkoby to zaraz ustało.” Wprawdzie sama u siebie objawy nadzwyczajne uważała za zesłane od Boga, ale czyniła to na mocy świadectw i zapewnień osób, którym powierzyła kierownictwo swéj duszy. Byłaby w danym razie chętnie przyznała to samo swoim zakonnicom, lecz nim to nastąpiło, wymagała aby pielęgnowały zdrowie swego ciała, bo „gdy zaniedbujemy takowe— mści się ono na duchu — co sprawia wielkie cierpienie dla obojga”.

Zachwyty, podczas których dusza jéj wpadała w rodzaj omdlenia a ciało stawało się bezwładném i odrętwiałém—zostawiały ją, po każdém przyjściu do siebie, pogrążoną w zupełnéj bezsilności i śmiertelném znużeniu. Trwało to przez długie lata; jest zadziwiającém, że w tym stanie zachowała ona do końca życia zupełną przytomność i żywość umysłu.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

## Profesor Huxley o tytuniu.

HUMORESKA NAUKOWA.

Kwestya tytuniowa dzieli świat cały na dwa odrębne obozy: zwolenników i przeciwników rośliny, przywiezionéj przez Nicot'a do Europy. Powołany do wyrzeczenia swego zdania w téj ważnéj sprawie profesor Huxley, na posiedzeniu angielskiego towarzystwa popierania postępu nauk tak mówić począł:

„W ciągu czterdziestu lat mojego życia tytuń był dla mnie okropną trucizną. *(Nieprzyjaciele trucizny biją brawo z całéj siły.)* Będąc młodym, w epoce gdy chodziłem na medycynę, próbowałem palić tytuń. Próżne usiłowania; za każdą nową próbą nieprzyjaciel zmagał mnie i powalał na ziemię. *(Nowe oklaski po téj saméj stronie.)* Wszedłem w służbę lekarską marynarki i tam znów próbowałem palić—i jeszcze raz zostałem zwyciężony przez tytuń, to też powziąłem doń nienawiść śmiertelną. Zdaje mi się, że wtedy byłbym z zapałem popierał wszelkie środki wymierzone przeciw tytuniowi i jego palaczom. *(Frenetyczne okrzyki.)*

„Przed kilkoma laty podróżowałem po Bretanii z trzema przyjaciołmi. Pewnego dnia deszcz padał ulewny i zmuszeni byliśmy schronić się do jakiejś nędznéj oberży na wsi. Perspektywa spędzenia tam pół dnia co najmniéj nie była wcale rozkoszną, a deszcz widocznie nie miał ochoty ustać. Moi przyjaciele poczęli palić tytuń, a paląc mieli miny tak zadowolone ze swojego losu, iż rzekłem sobie: „Dalibóg, trzeba spróbować robić to samo co oni.” *(Szemranie w szeregach dotychczasowych klaskaczy.)* Wziąłem cygaro... *(poruszenia rozmaite)*, zapaliłem je... *(Całe audytoryum zawisło na ustach mówcy)* i znalazłem je przepyszném!... *(Krzyki oburzenia)*.

Od téj chwili nawróciłem się do tytuniu; mojém zdaniem, palić umiarkowanie jest rzeczą dobrą a nawet chwalebną, gdyż skutki palenia są wyborne. *(Ogólna konfuzya przeciwników tytuniu—Śmiechy po stronie palaczy.)* Fajka tytuniu nie jest niebezpieczniejszą od filiżanki herbaty: można się struć, pijąc do zbytku herbatę zieloną; można się zabić, jedząc zadużo befsztyku. Tak samo też można się rozchorować, paląc bez pomiarkowania, ale tytuń w ilości umiarkowanéj wywiera wpływ uśmierzający, który uważam za nader korzystny w wielu razach; nie ulega wątpliwości, że on łagodzi obyczaje. *(Okrzyki radosne po stronie palaczy; — rozpacz i zupełny upadek ducha w szeregach przeciwników.)*

## NIC NOWEGO POD SŁOŃCEM.

**Indyjski karabin repetyerowy z XVIII wieku.**

Przysłowie twierdzące, że nic nowego niema pod słońcem, codziennie znajduje zastosowanie. Przytaczano je z okazyi wynalazku armat nabijanych z tyłu, armat rewolwerowych, pancerzy okrętowych i t. p., obecnie zaś stwierdza się ono przy karabinach repetierowych.

Według niewydanego rękopismu bibloteki w Nancy, którego autor Thiriot był nauczycielem dzieci Tippo-Sahiba, pewien indyanin zbudował w owym czasie znakomity karabin, z którego można było strzelać pięć razy bez nabijania. Pięć nabojów mieściło się w kolbie wydrążonéj, które, dzięki dowcipnemu mechanizmowi, nieopisanemu niestety przez Thiriot'a, przechodziły same w lufę.

Inne pismo francuzkie „Revue rouge” pomieszcza tekst dosłowny tego rękopisu, który znacznie różni się od streszczenia w „Debatach”. Thiriot mówi, że karabin miał jednę lufę i że strzelało się z niego piętnaście (nie pięć) razy bez nabijania i odwodzenia kurka. „Kolba karabinu była wydrążona tak, iż mogła w sobie pomieścić piętnaście nabojów. *Obracając tę kolbę, która była na sprężynach*, karabin nabijał się sam od tyłu, a jednocześnie kurek sam się odwodził”. Był to więc rodzaj rewolweru, którego działanie zrozumieć łatwo. Niemniéj łatwo wyobrazić sobie można, że manipulacya z tą bronią była mocno skomplikowana, mianowicie przy ładowaniu nabojów w kolbę.

Karabin ten był więc raczéj ciekawością aniżeli narzędziem wojenném; mimo to mechanizm jego godzien jest uwagi gdy zważymy, że od epoki jego wynalezienia już przeszło wiek upłynął.

## RAPTULARZ TYGODNIOWY.

**W Procesyach Bożego Ciała** przyjęły udział tłumy pobożnego ludu. Jak corocznie ołtarze zbudowane były na uprzywilejowanych miejscach, wśród kwiatów i zieleni; cechy asystowały ze swemi rozwiniętemi chorągwiami; dzieci w bieli poprzedzały kapłanów celebrantów, sypiąc im pod nogi różnobarwne kwiecie; światła gorzały, śpiewy biły w obłoki, echa dzwonów niosły nowinę Pańską poza mury Warszawy, poza Wisłę. Procesyi z katedralnego kościoła Ś-go Jana celebrował J. E. arcybiskup ks. Popiel, który ludowi, okrywającemu kolanami swemi bruk ulicy, udzielił pasterskiego błogosławieństwa. Podpory baldachinów podtrzymywali obywatele warszawscy, zajmujący w społeczeństwie wybitniejsze stanowiska, ale z żalem widzieliśmy, że od téj posługi religijnéj usuwają się coraz bardziéj ludzie, których spotykamy tak często na innych polach pracy społecznéj. Dawniéj obok kapłana postępowali przedstawiciele znakomitych

„MAŁŻEŃSTWO APFEL", KOMEDYA K. ZALEWSKIEGO.

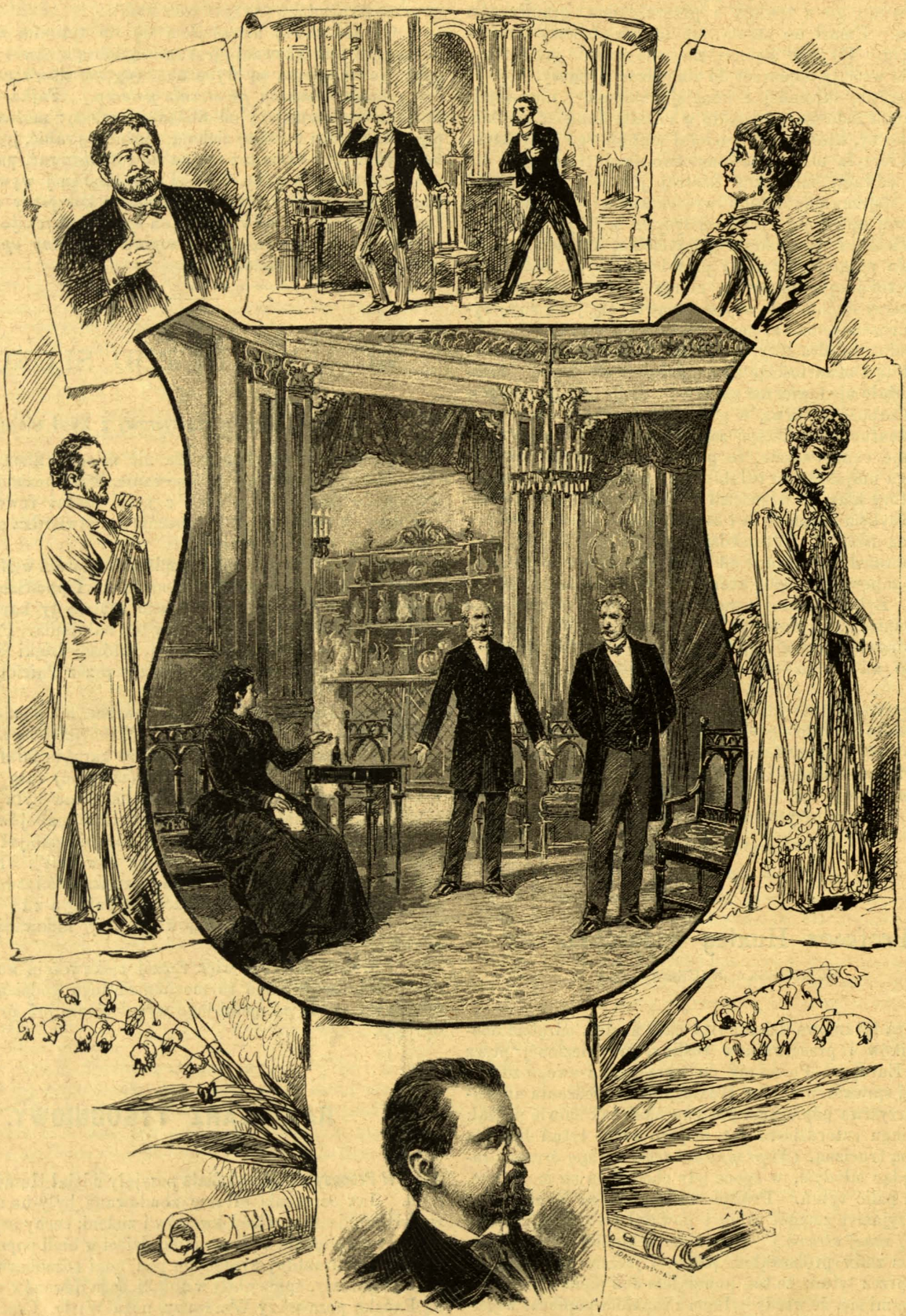

Grünbrust (p. Ostrowski). Wdowa Matylda (p. Lüdowa).

Ernest Apfel oświadcza ojcu, że oddaje cały swój majątek na zaspokojenie wierzycieli.

Ernest Apfel (p. Tatarkiewicz). Zofia, żona Ernesta (p. Wisnowska).

Stary Apfel (p. Ładnowski) zapytuje p. Czaputkiewicza (p. Żółkowski) dlaczego się krzywią, chociaż mają to czego chcieli—majątek.

W dyspucie ma udział pani Czaputkiewiczowa (p. Niewiarowska).

KAZIMIERZ ZALEWSKI.

RYSUNEK A. CIEMNIEWSKIEGO.

AUSROTTEN!

DAWNI DZIEDZICE I NOWI KOLONIŚCI.